Nr. 46. Warszawa, dnia 6 (18) Listopada 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

III.

Czas leci, a powodzenie Boerów po świetnej rozprawie w dniu 30 października utknęło, i zbliża się chwila, w której cała hypoteza zwycięztw, dotychczas dla obu rzeczypospolitych pomyślna, nagle odwróci się przeciwko nim. Wojska napływają z Anglii. Przez tydzień od 8 do 15 b. m. do Capetown przewieziono 12,000 żołnierzy i 667 oficerów. Z tej sumy część mniejsza pozostanie w kraju Przylądka, większa, 7—8 tysięcy, otrzymała przeznaczenie do Natalu i pierwsze jej oddziały znajdować się już muszą w porcie wschodnio-afrykańskim. Ponieważ panowanie strategiczne boerów nie przekracza Tugeli, doprowadzenie zatem posiłków na plac boju nie może być wątpliwem: kto nad Tugelą stanie, ten już i na natalską widownię wojny się przedrze; Boerowie bowiem nie mają dostatecznych sił, aby i White'a w Ladysmith przytrzymać i Bullera, czy też jego tymczasowego zastępcy, od Tugeli odeprzeć. Obleżeni sami wyciągną rękę do odsieczy.

Cała nadzieja była w dobrowolnem ustąpieniu lub przez konieczność narzuconej kapitulacyi White'a w Ladysmith: gdy zawiodła, stosunki rdzennie się odwracają: Boerowie muszą się bronić, Anglicy mogą nacierać. Zrozumienie tego przewrotu z chwilą rzeczywistego wprowadzenia wojsk angielskich na widownię—jest obowiązkiem instynktu zachowawczego Boerów. Jeśli się zechcą bawić w wielką wojnę zaczepną, o długich pochodach, zamiast myśleć o obronie w ściśle określonych punktach, i znowu zmarnują czas — ten równie jak żołnierz szacowny kapitał dla każdego przezornego dowództwa —może ich nieszczęście zaskoczyć prędzej, niż sami Anglicy dziś przewidują swe tryumfy. Takim punktem ściśle określonym jest przełęcz w Górach Smoczych na granicy Natalu i Transwalu, jest historyczna dolina, która w lutym 1881 r. rozbrzmiała radosnymi okrzykami zwycięztwa, zapowniającego samoistną — ale jakże krótką! — przyszłość.

Anglicy nie mogą pozostawić widowni natalskiej w rękach Boerów, przeciwnie, pierwszem ich założeniem strategicznem będzie wyparcie nieprzyjaciela do jego własnego kraju, a to da się wykonać jedynie tylko przez owo wolne przejście w górach około Langsneck i Majuba-hill. „Genialny" jakoby projekt Bullera: uderzyć na zachód i posuwać się od linii pogranicznej Mafeking-Kimberley z ciążeniem ku środkowi — jest niedorzecznym. Większe ma prawdopodobieństwo wtargnięcie do rzeczypospolitej Oranje: raz dla oderwania jej od Transwalu, powtóre dla przedarcia się tędy na północo-wschód i przez to zmuszenia Boerów do opuszczenia Natalu, a gdyby się spóźnili, to następnie i dla osaczenia ich w wąwozach i dolinach historycznego pogranicza. Wtargnięcie do rzeczypospolitej orańskiej położy też szybko kres wycieczce wojsk republikańskich do kraju Przylądka. Demonstracya niezdolna stać się czynem, utraci wszelką racyę w położeniu wymagającem czynów na innej, niedemonstracyjnej widowni. Nacisk materyalny na Afrykanderów, tj. Boerów pod panowaniem angielskiem będących i nielicznych ich przyjaciół z innych narodowości osadniczych, w jednej chwili ustanie. I tu oczekiwania zawiodły. Ruch narodowy jest słaby.

Teraz już powiedzieć można, że pierwszy, w pomyślnych warunkach, ubiegający okres wojny o niepodległość ma się ku końcowi. Czego w tej jasnej dla siebie dobie Holendrzy afrykanscy nie zrobili w Natalu, tego już nie zrobią. Z powodu wielkiej odległości i samego położenia geograficznego, które pozwala na zniszczenie kolei granicami zachodniemi obu rzeczypospolitych do Przylądka biegnącej — mogą jeszcze oba punkta osaczone przez Boerów na zachodzie, w Beczuanii i zachodniej Griqua, Mafeking i Kimberley, w ich moc wpaść; ale z tą zdobyczą, dziś już niebardzo prawdopodobną, zdobywcy będą mieli więcej kłopotu, niż z niej pożytku dla ogółu działań wojennych odniosą. Uwiężą tylko tak drogie, bo od tak wogóle nielicznej armii sprzymierzonej oderwane siły, i będą musieli dwie, żadnego bojowego związku z sobą niemające, widownie obsługiwać żołnierzem, środkami materyalnymi, energią i — krwią. Oba punkty trzymają się już od miesiąca, a przyczyna tej wytrwałości jest taka sama, jak w Ladysmith: brak artyleryi, już nietylko oblężniczej, ale najzwyczajniejszej polowej. Przy takim braku co się nie da zaimprowizować w jednej chwili, to już później wykonać jako rozważnie podjętą i na pewien czas rozłożoną robotę — bardzo trudno. Dotychczasowe

niepowodzenie w obleganiu stanowisk zamkniętych ułatwia Anglikom zadanie powalenia przeciwnika — ułatwia i przyspiesza.

Tydzień polityczny. Salisbury na obiedzie u nowego lorda-mayora, Newtona, d. 9 b. m. mówił o Transwalu. Wojny nie wywołały żądania angielskie, bo te były już odwołane, kiedy nadeszło *ultimatum*. Anglia chce tylko równouprawnienia, a nie pozwoli na interwencyę. Wymagania potęgi współdziałać muszą przy pokoju po ostatecznem zwycięztwie. Warunki będą tem łagodniejsze, im wojna mniej ofiar z Anglii wyciągnie. — Przemawiał i Wolseley. Rozgadała się Anglia i po za Guildhall: Harcourt, Hicks Beach mieli mowy znamienne.

Anglia ustępuje z wysp Samoańskich: dzielą się niemi Amerykanie i Anglicy. Upolu i Sawai należą do Niemiec.

Cesarz Wilhelm d. 18 b. m. wraz z cesarzową i Bulowem jedzie do Anglii. Mimo Bülowa, odwiedziny mają być prywatnemi.

D. 14 b. m. rozpoczęły swe czynności sejmy: francuski, niemiecki i włoski. We francuskim Waldeck-Rousseau zażądał *votum* zaufania; ma je otrzymać przewagą 100 głosów. W Niemczech prawo osłaniające robotników w strejkach (Arbeitswilligengesetz) rząd złożył na stół, przygotowuje pomnożenie floty.

W Barcelonie zaburzenia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DLA OBŁĄKANYCH.

Pisma doniosły niedawno, iż z rozporządzenia generał-gubernatora warszawskiego stworzono pod przewodnictwem pomocnika generał-gubernatora, r. t. Podgorodnikowa, radę specyalną do rozpatrzenia nadesłanych przez gubernatorów wniosków w sprawie opieki nad chorymi na umyśle, tudzież ostatecznego opracowania projektów tej organizacyi w całym kraju. Do rady tej weszli w charakterze członków: gubernator piotrkowski Miller, gubernator radomski Szczirowskij, gubernator płocki Janowicz, inspektor szpitalów cywilnych w Warszawie, Troickij, dyrektor szpitala w Tworkach, Chardin, warszawski gubernialny inspektor lekarski, Lewiński, urzędnik do szczególnych zleceń przy generał-gubernatorze, Zielenin i kielecki gubernialny inspektor lekarski Woronowski.

Wiadomość ta ma niezmiernie ważne znaczenie dla całego kraju. Podobno (według przypuszczalnych obliczeń dr. Rychlińskiego) mamy w całym kraju około 20 tysięcy obłąkanych. W szpitalach, przytułkach, domach schronienia i zakładach prywatnych jest 1,274 miejsc dla chorych. A więc opiekę może znaleźć zaledwie 6,25% wszystkich chorych na umyśle, z których 4,7% pomieścić można w szpitalach, a 1,5% w przytułkach. Około 19,000 chorych pozostaje bez opieki i spada olbrzymim ciężarem na społeczeństwo. Prawie niema wsi, niema miasteczka, gdzieby się nie tułali po ulicach i drogach ci ludzie nieszczęśliwi, oddani na pastwę uliczników, chłodu, głodu i nędzy. Ci, którymi się opiekują rodziny bliższe, są dla otoczenia nietylko udręczeniem moralnem, lecz i klęską ekonomiczną. Każda bowiem jednostka nieprodukcyjna w domu przynosi znaczny uszczerbek materyalny. Prócz tego obłąkani są wielką plagą mieszkańców wsi i miasteczek: niejednokrotnie bowiem stają się niepoczytalnymi podpalaczami. Ciężary więc i straty wyrządzane społeczeństwu przez te rzesze nieszczęsne niewątpliwie wynoszą rocznie setki tysięcy rubli. Naturalnie przy takim stanie rzeczy, jak obecnie, straty te muszą wzrastać, gdyż na 20,000 kandydatów zaledwie 1,274 nieuleczalnych, jako inwalidów, może znaleźć miejsce. Są to wybrańcy z rodzin zamożniejszych, przyjęci przy usilnych zabiegach. Wogóle dostać się do Tworek, nawet furyatowi, jest o wiele trudniej, niż człowiekowi najwyżej uzdolnionemu na posadę w biurach kolejowych lub bankowych.

Jakże ogromnie różni się pod tym względem zagranica! We Francyi nawet najuboższe departamenty mają swoje zakłady dla chorych na umyśle, dzięki poparciu materyalnemu rządu. W Anglii, tak samo jak we Francyi, istnieją osobne zakłady dla epileptyków i idyotów. W Niemczech każda prowincya posiada duży zakład. W prowincyach nadreńskich w r. 1870 wzniesiono pięć obszernych zakładów kosztem 12 milionów marek. Obecnie na rozszerzenie dawnych i wzniesienie nowych zakładów przeznaczono tam 8,500,000 marek. Nadto w pobliżu miast główniejszych utworzono kolonie rolnicze dla obłąkanych. Niezależnie od państwowych, istnieje mnóstwo zakładów prywatnych.

W roku 1879 ministeryum spraw wewnętrznych uzyskało od komitetu ministrów pozwolenie na udzielanie zapomogi rządowej w stosunku 50% na budowę w ziemstwach zakładów dla obłąkanych, lub na przebudowę dawnych. Wogóle ziemstwa, w miarę swych środków, starają się zaradzać dotkliwym potrzebom w tym zakresie. Tu i owdzie usiłują nawet tworzyć kolonie dla obłąkanych.

Tymczasem u nas, oprócz wzniesienia szpitala w Tworkach *dla wybranych*, nic dotąd nie zrobiono i dopiero teraz widzimy pocieszający objaw: kroki wstępne, to jest stworzenie rady specyalnej. W sprawie opieki nad obłąkanymi zabierał głos dr. Rychliński w Towarzystwie hygienicznem i następnie osobną pracę drukiem ogłosił. Otóż zaleca on przedewszystkiem trzymać się tych metod i planów, jakie wypróbowano z powodzeniem za granicą; a więc należy tworzyć: 1) lecznice dla tych, którzy wyzdrowieć mogą; 2) przytułki dla nieuleczalnych; 3) kolonie rolnicze i warsztatowe; 4) przygotowywać ludność do opieki nad obłąkanymi we własnych siedzibach.

Królestwo Polskie posiada obecnie tylko 651 miejsc szpitalnych, na które możnaby przyjmować chorych, wymagających leczenia. Ale zajęte one są przeważnie przez nieuleczalnych spokojnych. Obecnie, według obliczeń dr. Rychlińskiego, mamy co najmniej 5,840 chorych, których należałoby umieścić w przytułku. Tymczasem możemy zaspokoić zaledwie 10% pilnych potrzeb w tej mierze; a przytułki istniejące pozostawiają bardzo dużo do życzenia. Wszystkie rodzaje chorób są tam pomieszane, a więc wszyscy sobie zawadzają i szkodzą wzajemnie. Otóż należałoby stworzyć odrębne pawilony, w których można byłoby rozmieścić chorych stosownie do stanu psychicznego. Zakła-

---

WIT DE MAUPASSANT.

WYZNANIE KOBIETY.

Ty, przyjacielu, prosiłeś mię, żebym opowiedziała ci wspomnienie, jakie najżywiej utkwiło w mej pamięci. Jestem w podeszłym już wieku, bez rodziców, bez dzieci; mogę więc wyspowiadać się przed tobą. Przyrzecz mi jedynie nie wyjawić nikomu mego nazwiska.

Byłam przez wiele osób kochaną. Wiesz o tem. I ja kochałam często. Byłam bardzo piękną; mogę o tem dziś mówić, gdy już nic mi z tego nie pozostało. Miłość stanowiła dla mnie niezbędny warunek życia duszy, jak powietrze jest niezbędnym warunkiem życia ciała. Wolałabym była raczej umrzeć, niż żyć bez uczucia, bez przywiązanej do mnie myśli kogo innego. Kobiety twierdzą często, że kochają tylko raz całą siłą swego serca; co do mnie kochałam kilkakrotnie, a zawsze tak gorąco, że sądziłam, iż nigdy mój płomień miłosny nie zgaśnie. A jednak gasł zawsze w sposób naturalny, jak ogień, któremu brakło drzew.

Opowiem ci dziś pierwszą swoją przygodę. Nie byłam w niej winowajczynią, ale przygoda ta wywołała inne.

Straszna zemsta tego okrutnego aptekarza du Pecoja przypomniała mi okropny dramat, którego mimowolnym świadkiem byłam kiedyś.

Przed rokiem już wydano mnie za bogatego człowieka, hrabiego Herwego de Ker. Bretończyka z dziada pradziada. Nie kochałam go.

Mój mąż był słusznego wzrostu, elegancki, z postawą prawdziwego pana. Ale brakowało mu inteligencyi. Mówił cięto, wypowiadał poglądy stanowcze, jak uderzenia młotem. Czuło się, że umysł jego pełen jest gotowych myśli, włożonych mu przez ojca i matkę, którzy otrzymali je sami w spadku po przodkach. On nigdy nie wahał się, wypowiadał o wszystkiem zdanie bezpośrednie i ograniczone, bez żadnego zakłopotania i nie rozumiejąc, iż mogą istnieć inne poglądy. Nie trudno było zauważyć, iż to głowa zamknięta, że nie krążą w niej myśli, te myśli, które odnawiają i odświeżają ducha, jak wiatr odświeża dom, gdy otworzy się w nim okna i drzwi.

Zamek zamieszkiwany przez nas znajdował się w prawdziwej puszczy. Była to wielka, smutna budowa, otoczona olbrzymiemi drzewami, których mchy przypominały białe brody starców. Park, istny las, otoczony był głębokim rowem, a na samym jego końcu posiadaliśmy dwa duże stawy pokryte trzciną i wodnemi roślinami. Pomiędzy nimi, nad brzegiem łączącego je potoku, mój mąż kazał wznieść małą chatkę, aby z niej strzelać dzikie kaczki.

Mieliśmy prócz zwykłych naszych sług, polowego, rodzaj bydlęcia oddanego memu mężowi z krwią i kośćmi oraz pokojówkę, prawie przyjaciółkę, przywiązaną do mnie gorąco. Przywiozłam ją pięć lat temu z Hiszpanii. Był to podrzutek. Wyglądała na cygankę z powodu swej śniadej cery, ciemnych oczu, gęstych jak las włosów, zawsze rozwichrzonych około czoła. Liczy-

danie kolonij wymaga ogromnych kosztów, ale za to utrzymanie ich może być tanie, dzięki pracy produkcyjnej chorych, której wartość jest oceniana na 15—30 k. dziennie.

Najważniejsze i najpilniejsze są szpitale dla *leczenia* obłąkanych, a następnie — przytułki specyalne i kolonie robotnicze. Przytułki muszą być rozmaite: 1) dla chorych, którzy, pomimo zdrowia fizycznego, nie mogą zająć się pracą, z powodu pozostałości cierpień umysłowych; 2) dla epileptyków; 3) dla idyotów (te powinny mieć charakter szkoły rzemieślniczej); 4) dla zniedołężniałych, paralityków i chorych na inne cierpienia organiczne mózgu. Kolonie robotnicze powinny być dwojakie: jedne dla chorych na umyśle wyłącznie, drugie dla pijaków nałogowych i morfinistów. Nadto należy urządzić przy więzieniach oddziały psychiatryczne z funduszów więziennych dla przestępców, którzy muszą podlegać badaniu lekarskiemu.

Oczywiście żądania te są olbrzymie i kosztowne, więc niepodobna nawet marzyć, ażeby mogły być szybko urzeczywistnione. Będzie to praca lat wielu, więc tem prędzej i tem żarliwiej należy ją podjąć. Oprócz zakładów leczniczych, przytułków, kolonij itd., potrzebne są towarzystwa opieki nad obłąkanymi i nerwowymi, któreby mogłyby powołać całe społeczeństwo do tak ważnej pracy. Tymczasem zanim się zawiąże taka praca społeczna, towarzystwa dobroczynności powinny zmniejszyć swoją działalność jałmużniczą, a natomiast zakładać przytułki dla chorych na umyśle. Obowiązkiem zaś bardzo właściwym dla Towarzystwa przeciwżebraczego byłoby zaopiekowanie się pijakami nałogowymi.

Dr. Rychliński między innemi zaznaczył w swoim projekcie bardzo ważny warunek. Mianowicie należałoby zmienić na drodze prawodawczej porządek, pozostawiający zarząd szpitalów dla obłąkanych intendentom, którzy, jako niespecyaliści, nie mogą spełniać należycie powierzonych im obowiązków.

Miejmy nadzieję, że powołana obecnie rada specyalna będzie pierwszym krokiem do czynu i że wszystkie powyższe warunki weźmie pod uwagę w jak najprędszym czasie.

KRONIKA POZNAŃSKA.

P. Bitter, nowy opiekun W. Ks. Poznańskiego. — Jakie są jego kwalifikacye i czego można się spodziewać? — W co się zamieniają gorące mózgi i serca na wysokich stanowiskach karyery? — Rola konstytucyi pruskiej. — Stowarzyszenia wobec prawa i konserwatyści — Naginanie prawa do celów. — Piotr przepieprzył wieprza. — Procesy. — Uchwała kongresu miast.

Doniosłym wypadkiem w kronice życia bieżącego jest obecnie powołanie nowego kierownika w W. Ks. Poznańskiem. Już od paru tygodni miejsce barona Wilamowitza zajął p. Bitter. Kto jest ten pan? Jakie będą jego rządy? Jaki stosunek do ludności rdzennej? Takie pytanie zadaje obecnie każdy mieszkaniec Ks. Poznańskiego. Odpowiedzi na wszystkie te pytania już dziś dadzą się sformułować. Można określić sylwetkę nowego kierownika, scharakteryzować jego zasady i przewidzieć politykę. Przedewszystkiem nie zapomnijmy o tem, że Wilamowitza zmuszono do ustąpienia (wbrew woli cesarza Wilhelma) głównie dlatego, iż nie podzielał on całkowicie polityki germanizacyjnej, a raczej jej sposobów, uznanych i przyjętych przez hakatyzm. Otóż musiano już zawczasu postarać się o takiego kandydata, który jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej w znacznym stopniu odpowiadałby wymaganiom hakatystów. Dość zaznaczyć ten fakt, że Bitter był protegowanym i pomocnikiem dwu ostatnich ministrów spraw wewnętrznych: Kollera i v. d. Reckego, ażeby wiedzieć, kim on jest. Obaj ministrowie byli wyznawcami i kierownikami nawy politycznej, na której sztandarze figurowały następujące godła: „skrajna zachowawczość,“ „nietolerancya stronnicza,“ „nienawiść religijna i plemienna.“

P. Bitter był sługą powolnym swoich zwierzchników, cieniem ich ruchów, echem ich głosów, odgadywaczem ich myśli. Z takiemi kwalifikacyami można rozwinąć skrzydła opiekuńcze nad W. Ks. Poznańskiem. Wprawdzie pozostała w pamięci ludzkiej jakaś tam karta innej barwy z pierwotnych dziejów karyery tego działacza: wygłaszał on niekiedy zasady wolnomyślne; ale to było w latach młodzieńczych, jeszcze na skromnem stanowisku. Hasła liberalne, to pajęczyna poczwarki, której się ona pozbywa z chwilą, gdy skrzydła wyrosną. Takich przykładów w dziejach polityki pruskiej było mnóstwo, że wymienimy tylko wiceprezesa gabinetu, p. Miquela, słynnego niegdyś organizatora rewolucyi z r. 1848. Wytrawni politycy, starzy wyjadacze i znawcy natur ludzkich wiedzą wybornie, że te mózgi, które zamłodu szumiały, dają jaknajlepszą rękojmię na starość. Najlegalniejsze głowy wyrosły z takich „szalonych pałek.“ Najdzielniejsi germanizatorowie, najsurowsi, najbezwzględniejsi prześladowcy żywiołu i ducha słowiańskiego wyszli z tych ludzi. Najwięksi wyznawcy miłości i braterstwa społecznego z czasów ławy akademickiej i początków karyery politycznej zamienili się na najzacieklejszych fanatyków, wydobywali z siebie nieprzebrane zasoby piany nienawiści plemiennej z chwilą, gdy im się otworzyły podwoje na arenę szerokiej karyery politycznej, gdy z pod poły pokazano im tajemniczo trzosy napęczniałe. To też dziwić się nie można, że na szalę czynów p. Bittera nie rzucono wcale tej różowanej kartki z jego młodości. Znikła ona, wydarta z jego duszy tak samo, jak znika rumieniec i puszek młodzieńczy z twarzy, gdy się przechodzi do okresu przejrzewania.

P. Bitter jest nietylko dojrzałym, ale nawet już przejrzewającym mężem politycznym. Może więc być znakiem tryumfu germanizatorów, ale tylko w chwili obecnej. Bo co do przyszłości, nie można jeszcze wiedzieć, czy nie zawiedzie on nadziei pokładanych; czy mu siły nie odmówią posłuszeństwa, czy logika życia nie wykręci w jego mózgu logiki programowej. Wprawdzie konstytucya pruska jest dziś wygodną płachtą, którą się niejednokrotnie przykrywa ohydne pogwałcenie równości i sprawiedliwości w najszerszem znaczeniu. Ale płachta owa jest podziurawiona i miejscami kusa; gdy więc w tem miejscu obnażą się czyny: gwałty i okrucieństwa antycywilizacyjne i antyspołeczne, przyzwoitość przed oczami świata nakazuje nakładać pewne hamulce. Większym atoli równoważnikiem jest tu jeszcze niezłomna logika rozwoju organizmów silnych i żywotnych. Społeczeństwo polskie w W. Ks. Poznańskiem jest olbrzymiem drzewem które, pomimo uschnięcia niektórych gałązek i gałęzi, posiada pień mocny i konary rozłożyste. Germanizatorowie w pewnej mierze odegrali tu rolę ogrodników, obcinających gałęzie uschłe i spróchniałe na korzyść rozwoju zdrowych. Komisya kolonizacyjna odcięła takie gałęzie szlacheckie wraz z pasorzytami szkodliwymi. Powstał tedy prawidłowszy rozwój całego drzewa. Zapanowała większa świadomość czynów i życia. Pier-

---

la wówczas szesnaście lat, ale można było przysiądz, że ma dwadzieścia.

Jesień zaczynała się. Polowano dużo, to u sąsiadów, to u nas. I zauważyłam pewnego młodego człowieka, barona C., którego wizyty do zamku stały się dziwnie częstemi. Potem przestał bywać i zapomniałam o nim; ale spostrzegłam, że mój mąż zmienił swe zachowanie się względem mnie.

Wydawał się milczącym, zamyślonym, nie całował mię; a chociaż nigdy nie wchodził do mego pokoju, którego oddzielność wymówiłam sobie, żeby być nieco samą, słyszałam często nocą jakieś skradanie się do moich drzwi, a po kilku chwilach milknący odgłos kroków w dali.

Ponieważ moje okno znajdowało się na dole, słyszałam także często kroki w cieniu, około zamku. Powiedziałam to mężowi. On spojrzał na mnie bacznie przez kilka chwil, a potem odparł:

— To nic, to stróż.

*

Otóż pewnego wieczoru, gdy kończyliśmy wieczerzę, Herwe, który wydawał się dziwnie wesołym, spytał mię:

— Czy chciałabyś spędzić trzy godziny na zasadzce, aby zabić lwa, który co wieczór zagryza mi kury?

Zdziwiona wahałam się; ale ponieważ on patrzył na mnie z dziwną wytrwałością, odparłam wreszcie:

— Owszem, mój kochany.

Muszę powiedzieć, że polowałam na wilka i dzika, jak najzapamiętalszy myśliwy. Łowiecka propozycya przeto była zupełnie na miejscu.

Ale mój mąż przybrał naraz wygląd dziwnie nerwowy. I przez cały wieczór był pobudzony, wstawał i siadał gorączkowo.

Około dziesiątej rzekł mi nagle:

— Czy jesteś gotowa?

Wstałam. A gdy on przyniósł mi sam strzelbę, spytałam:

— Czy mam nabić kulami, czy śrutem?

Pytanie to zastało go nieprzygotowanego, potem odparł: „O, tylko śrutem, to wystarczy, bądź pewna.“ Zaczem po kilku chwilach dodał dziwnym głosem: „Ale ty masz niesłychanie zimną krew.“ Roześmiałam się. Cóż wielkiego? Zimna krew, aby zabić lisa? Szczególna myśl, mój drogi.

I ruszyliśmy bez szmeru przez park. Cały dom spał. Pełnia księżycowa zdawała się barwić na żółto ciemny stary gmach, którego dachówki błyszczały. Dwie wieżyczki wznoszące się u boków miały na szczycie dwa świetlne płaty i żaden szmer nie mącił milczenia tej nocy jasnej i smutnej, słodkiej i ciężkiej, jakby martwa. Ani jednego drżenia w powietrzu, ani jednego grania żabki, ani jednego krzyknięcia puszczyka; wszystko ogarnął ponury bezwład.

Gdy byliśmy pod drzewami parku, owiała mię świeżość i ogarnął zapach opadłych liści. Mój mąż nic nie mówił, ale słuchał, wytężał wzrok, zdawał się węszyć w cieniu, owładnięty od stóp do głów namiętnością łowów.

Dotarliśmy szybko do brzegu stawów.

Ich trzciny, najeżone jak włosy, były nieruchome, żaden powiew nie pieścił ich. Ale po wodzie biegły drżenia ledwie dostrzegalne. Czasem jakiś punkcik poruszał się na powierzchni, od niego zaś ruszały lekkie kręgi podobne do świetlanych zmarszczek, zwiększających się nieskończenie.

wiastki lepsze budzą się z większą siłą i stawią skuteczny opór gwałtom.

Te właśnie wszystkie zjawiska, nie brane w rachubę, ani przez nowego kierownika w Poznańskiem, ani przez jego wyborców i wyznawców, mogą być poważnym szkopułem w wykonaniu programów politycznych p. Bittera. Poprzednik ustąpił z godnością, rzucając pogardę w oczy hakatystów, którzy nie umieli zrozumieć jego mądrzejszej i subtelniejszej polityki. P. Bitter, pierwej czy później ustąpi, ale niezadowolony z siebie i zgryziony zawodem. Nie idzie zatem, ażeby przez czas swej gospodarki nie spróbował środków już znanych i nie skorzystał z doświadczeń innych działaczów. Będą więc w dalszym ciągu działy się bezprawia, jak dotąd, będą krępowane wszelkie objawy życia społecznego: będą naginane prawa do celów.

Takie naginanie najjaskrawiej i najcharakterystyczniej zaznaczyło się w prześladowaniu stowarzyszeń, zwłaszcza od chwili upadku Capriviego. Płynąca od tronu niechęć do wszelkich objawów demokracyi stała się prądem, poruszającym motory konserwatyzmu. Robotnicy, zajęci około tej machiny olbrzymiej, przeprowadzili transmisye prawne z towarzystw politycznych do wszelkich innych, ustawili tam koła i kółka swoje i rozpoczęli robotę na całej przestrzeni Prus zachodnich, Poznańskiego i na Szlązku. W tych trzech dzielnicach specyalnie wzięli w swoją opiekę towarzystwa polskie, niemające najmniejszych odcieni działalności politycznej. Uciekano się do prześladowań pod najrozmaitszymi pozorami. Odmawiano pozwolenia na zebrania, czepiając się drobnych przekroczeń i niedokładności formalistycznych, jak np. źle napisane zawiadomienia do policyi, nieodpowiedni wybór lokalu itd. Poczem zaczęto nakładać kary na zarządy stowarzyszeń za to, że nie stosowały się do wymagania i przepisów, obowiązujących wyłącznie towarzystwa polityczne. Zabroniono wprowadzać kobiety i dzieci, wreszcie zakazano łączyć się stowarzyszeniom w związki większe.

Uciskani próbowali zrazu bronić się przed samowolą policyi za pomocą sądów administracyjnych, których orzeczenia miały pewien skutek, przynajmniej chwilowy. Ale oto przed dwoma laty w składzie tej instytucyi zaszły pewne zmiany na korzyść konserwatystów i od tego czasu stronny sąd popiera zawzięcie politykę prześladowczą. W tym nowym okresie ucisku już bez ceremonii, bez żadnych pozorów, wszelkie najniewinniejsze stowarzyszenia, nawet sportowe, uznano za polityczne i poddano całej surowości przepisów, pomimo że w rzeczywistości stoją one daleko po za obrębem tych praw.

Ustawę tak interpretowaną zastosowano wyłącznie do towarzystw polskich, tudzież społeczno - demokratycznych, wolnomyślnych i duńskich. Wyłamały się tylko zupełnie z pod tej ustawy towarzystwa konserwatywne, a nadto wolne są od niej nowe, zawiązane w celach pielęgnowania lub obrony pewnych kierunków politycznych, jak np. Związek rolników, Towarzystwo szerzenia niemczyzny, Towarzystwo budowy floty.

Pomimo że wszystkie one uprawiają politykę otwarcie, mogą korzystać ze wszystkich praw stowarzyszeń niepolitycznych, tudzież wiązać się w organizacye szersze. Dzięki temu *niepolityczny* Związek rolników stał się potęgą polityczną, z którą musi się liczyć nawet cesarz Wilhelm. Ale oto skutkiem zatargu o kanał centralny, wyższym sferom otworzyły się oczy na istotny stan rzeczy. Ujawniono politykę stronniczą w całej pełni i obliczono jej skutki. Związek rolniczy, który tak bezkarnie i samowolnie uprawiał politykę, stał się obecnie przedmiotem szczególnej uwagi, a więc podobno ma być zaliczony do kategoryi towarzystw politycznych i tem samem — ograniczony w swoich przywilejach samowolnych. Będzie to oczywiście potężny taran na mur dotychczasowego przywileju konserwatystów, zdobytego prawem kaduka. Wtedy oni sami będą musieli głosować za zniesieniem ustawy, ograniczającej swobodę stowarzyszeń i łykać wieprzowinę, przepieprzoną przez Piotra-rolnika. Wszystko to jednak jest jeszcze pisane mglistemi zgłoskami przypuszczeń.

Skoro mowa o stowarzyszeniach, nie możemy pominąć faktu wielce charakterystycznego. Przed izbą karną w Essen toczyła się niedawno sprawa przeciw Towarzystwu św. Piotra w Horst (nad rzeką Ruhr), które pociągnięto do odpowiedzialności pod zarzutem przekroczenia 17 paragrafu prawa o stowarzyszeniach. Mianowicie chodziło o to, że urządzono jakoby pochód bez pozwolenia policyjnego. W rzeczywistości Towarzystwo ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza urządziło wieczorek, na który zaprosiło kilka towarzystw sąsiednich i wraz z niemi zamierzało udać się na nabożeństwo do kościoła. Policya wszakże odmówiła pozwolenia na to. Towarzystwa sąsiednie dopiero po przybyciu do lokalu dowiedziały się o zakazie, a więc, nie rozwijając chorągwi, udały się do kościoła. Otóż za tę zbrodnię wytoczono proces Towarzystwu św. Piotra i posadzono na ławie oskarżonych aż dziesięciu zbrodniarzy - inicyatorów. Sąd ławniczy w Steele nie podzielił jednak zapatrywań policyi i nie uznając zbiorowego udania się do kościoła za pochód, niezgodny z prawem, uwolnił oskarżonych od wszelkiej odpowiedzialności. Ale prokurator, wysoce niezadowolony z takiego wyroku, założył rewizyę, uzasadniając swój protest tem, że oskarżeni brali udział w „pochodzie,“ na który nie mieli pozwolenia. Tym sposobem sprawa przeszła do izby karnej. Tam atoli żaden ze świadków nie mógł wskazać kierownika „pochodu,“ skutkiem czego prokurator, jak niepyszny, musiał cofnąć wniosek o rewizyę. Na to wszakże nie zgodził się obrońca oskarżonych, gdyż sprawa była już w toku. Musiano tedy z wszelkiemi formalnościami wydać wyrok uniewinniający.

Mamy jeszcze do zanotowania sprawy innego rodzaju. Przed izbą karną sądu ziemiańskiego w Toruniu stanęli redaktorowie *Gazety toruńskiej*, pp. Brejski i Paszliński. Pierwszego, za obrazę sądu, skazano na miesiąc więzienia. Sprawę drugiego oskarżonego o obrazę komisyi kolonizacyjnej, odroczono. W parę dni potem skazano redakcyę *Gazety ostrowskiej* za „swawolę“ na 30 marek kary lub, w razie niemożności jej zapłacenia, na więzienie. Wreszcie wyrok na redaktora *Gazety grudziądzkiej*, p. Majerskiego, skazujący go na trzy miesiące więzienia, zatwierdził sąd nadziemiański w Kwidzynie. Zaledwie zdołano załatwić się z tą sprawą, gdy oto p. Majerski musiał znowu stanąć przed izbą karną sądu ziemiańskiego w Grudziądzu pod zarzutem obrazy władz państwowych. Sprawa miała się ku końcowi, wiadomy był nawet już wyrok, gdyż prokurator zaproponował 300 marek kary lub 30 dni więzienia, gdy naraz spostrzeżono, że pod numerem gazety, w którym się znajdował ten karygodny artykuł, był podpisany jako redaktor odpowiedzialny, nie p. Majerski, lecz p. Zygmunt Piotrowski. Wobec tego musiano uwolnić oskarżonego od wszelkiej odpowiedzialności; ale p. Piotrowski przynajmniej bez kłopotu i ceremonii, mógłby przyjąć karę na siebie. Ceremonia sądowa nie minie go jednak. Za to sąd będzie miał już mniej roboty, podstawiając tylko nazwiska, a winny będzie czekał na wyrok, wiedząc już z góry, jak on zabrzmi.

Niedawno uświęcono nowy atak germanizacyjny: W Pile odbył się kongres miast W. Ks. Poznańskiego, na którym poruszono sprawę kulturalnego podniesienia ich i uchwalono w rezultacie środki w duchu hakatystycznym. Mianowicie zażądano, obok popierania szkoły germanizacyjnej, pomnożenia liczby pomników niemieckich, urządzenia możliwie największej

---

Gdy stanęliśmy u progu chaty, w której mieliśmy zasiąść, mój mąż puścił mię naprzód, a potem nabił zwolna strzelbę. Suche trzaskanie wypróbowywanych kurków wywarło na mnie dziwne wrażenie. On poczuł, że drgnęłam i zapytał:

— Może już dosyć masz myśliwskiej wycieczki? Wracajmy.

Odparłam bardzo zdziwiona:

— Wcale nie. Nie przyszłam na to, aby wracać. Jakiś ty dziwny tego wieczora!

On wyszeptał: „jak ci się podoba“ i zostaliśmy w chacie, nie ruszając się z miejsca i nic nie mówiąc do siebie.

W jakie pół godziny, widząc, że nic nie mąci ciężkiego a pogodnego spokoju tej jesiennej ciszy, rzekłam cicho:

— Czy jesteś pewny, że on tędy przechodzi?

Mój mąż drgnął, jak gdybym go ukąsiła i szepnął mi w ucho:

— Jestem pewny, rozumiesz?

I milczenie znowu rozpoczęło się.

Zdaje mi się, że zaczynałam już zasypiać gdy Herwe ścisnął mię za ramię, a głosem gwiżdżącym i zmienionym pisnął:

— Czy widzisz go tam, pod drzewami?

Patrzyłam napróżno: nie nic widziałam. Mąż zaś celował zwolna, wciąż spoglądając na mnie. Byłam gotowa również do strzału, kiedy naraz o trzydzieści kroków przed nami wynurzył się człowiek. Oblała go światłość księżyca, on zaś podążał raźnymi krokami, z ciałem schylonem, jak gdyby uciekał.

Tak byłam zdziwioną, że krzyknęłam. Ale zanim mogłam odwrócić się, płomień błysnął przed mojemi oczyma, wystrzał ogłuszył mię i ujrzałam, jak człowiek runął na ziemię, podobny do wilka ugodzonego kulą.

Wydawałam głośne okrzyki, przerażona, oszalała; wówczas rozwścieklona dłoń, dłoń męża chwyciła mię za gardło. Rzucił mię na ziemię, potem chwycił w żylaste swe ramiona. I biegł trzymając mię przed sobą, ku ciału rozciągniętemu na ziemi, potem cisnął mię gwałtownie na nie, jak gdyby chciał mi roztrzaskać czaszkę.

Czułam się straconą. On chciał mię pobić i już podnosił piętę, by nią rozmiażdżyć me czoło, gdy pokolei i jego ktoś objął w pół i przewrócił.

Nie rozumiałam, co to wszystko ma znaczyć. Zorwałam się i zobaczyłam wtedy, jak klęcząc na jego piersi Paquita, moja pokojowa, namiętnie i z szałem, jak wściekły żbik, rwała mu brodę, wąsy i darła skórę z twarzy.

Potem jakby porwana nagle inną myślą, podniosła się, przypadła ku ciału, objęła je obiema rękami i poczęła całować oczy, wargi, otwierać swemi ustami jego usta, szukając w nich tchnienia i pieszczoty.

Mój mąż powstawszy, patrzył. Zrozumiał i upadł mi do nóg. „O, wybacz moja ukochana — wyrzekł — podejrzewałem ciebie i zabiłem kochanka tej dziewczyny. To mój gajowy oszukał mię.“

Ja patrzyłam na dziwne pocałunki tego umarłego i tej żywej: i słuchałam łkań jej i rozpaczliwych zawodzeń.

W tej chwili zrozumiałam, że prysnęły wszystkie węzły między mną i moim mężem.

Przeł. *W. Bugiel.*

liczby czytelni niemieckich tudzież popularnych wykładów niemieckich. Następnie zaproponowano ulgi w odwiedzaniu teatrów i wystaw niemieckich, zakładania towarzystw niemieckich przy pomocy państwa, wreszcie urządzania częstych zjazdów niemieckich. Wszystko to uchwalono dla miast, oddanych pod opiekę rządu konstytucyjnego i posiadających znaczną większość ludności polskiej. *et.*

DONIESIENIE URZĘDOWE.

Warsz. Dziennik z d. 16 listopada donosi:

Wczoraj, o godzinie 11¼ w nocy, przejechali przez stacyę „Praga Nadwiślańska" w kierunku Petersburga Ich Cesarskie Mości Najjaśniejszy Pan i Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna, Wielkie Księżniczki Olga Mikołajówna, Tatjana Mikołajówna i Marya Mikołajówna. Wielcy Książęta Michał Mikołajewicz i Mikołaj Mikołajewicz. Ich Cesarskim Mościom Najjaśniejszym Państwu towarzyszyli ministrowie: Dworu Cesarskiego i spraw zagranicznych, zarządzający ministeryum spraw wewnętrznych i niektóre osoby Świty Najjaśniejszego Pana. Na dworcu w przerwie między przybyciem wązkotorowego Cesarskiego pociągu a wyprawieniem szerokotorowego, mieli szczęście przedstawiać się Ich Cesarskim Mościom Główny Naczelnik Kraju, generał-adjutant jaśnie oświecony książę Imeretinski i Najjaśniejszemu Panu p. o. oberpolicmajstra warszawskiego, pułkownik Lichaczew.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Deszcz gwiazdzisty.

W lipcu, sierpniu, a głownie w listopadzie widzieć można corocznie spadanie „gwiazd," a właściwie jakichś odłamów ciał niebieskich, które przebiegając naszą atmosferę, rozpalają się pod wpływem tarcia o powietrze. Astronomowie wszakże zauważyli (w r. 1799, 1833, 1866), że co 33 lata ów „deszcz gwiazd" staje się niezwykle rzęsistym. Właśnie na obecny rok i obecny miesiąc przypadał termin tego zjawiska. Zapewniano tedy, że między 13 a 16 listopada podziwiać będziemy świetne roje meteorytów, które dla naszego oka wylecą z konstelacyi Lwa (stąd zwane „Leonidami") i przebiegłszy pewną drogę na firmamencie, nikną będą lub może zsypywać się na ziemię. Czy to są resztki komety Tempie, czy gruzy innej, czy „tułają się" oddawna po drogach naszego systematu słonecznego, czy „zabłąkały się" doń skądinąd— wszystkie te przypuszczenia, w braku lepszych uprawnione przez naukę — nie rozwiązują zagadki rodowodu tajemniczych gości z za świata naszego. Te błędne gwiazdy stanowią jedno z tych niepojętych słów, któremi natura przemawia do nas, przypominając nam nikłą małość naszej wiedzy i bezmiernej wielkości jej tajemnic. Wtedy odrywamy oczy od ziemi, która w zwykłym biegu rzeczy wydaje nam się całem polem poznania, i podnosimy ją ku niebiosom, ku tej otchłani, w której się mieści nieskończoność. Ale bezsilny nasz rozum nie może przeniknąć głęboko w jej wiecznie zasłonięte i żadną granicą nieobjęte wnętrze. Dostrzegamy pewne zjawiska, po wielu ciężkich mozołach udaje nam się odgadnąć prawidłowość niektórych, cieszymy się odniesionym tryumfem wiedzy, ale wkrótce jego sława milknie w poczuciu niemocy wobec tego ogromu zagadek, które rozgniatają swym ciężarem najgenialniejsze umysły. Gdy meteory przebiegają firmament, patrzymy na nie jak na widowisko niewiadomego początku, celu i siły sprawczej.

Spodziewano się wykraść im obecnie bodaj jakąś odrobinę tajemnic i przygotowano się troskliwie do obserwacyj astronomicznych. Niestety, gęsta opona chmur— przynajmniej na naszem niebie — zasłoniła oczekiwany obraz. Czy on gdzieindziej nie odkrył się badaczom — dotąd jeszcze nie wiadomo.

Nasze drzeworytnictwo.

Zdziwiło nas jedno zdanie w prospekcie *Tyg. ilustrowanego.* Mianowicie redakcya tego pisma, uznając, że „powodzenie obowiązuje," zapowiada, że dla podźwignięcia upadającego, a raczej upadłego u nas drzeworytnictwa zamierza otworzyć szkołę, któraby kształciła artystów w tej sztuce. Nie rozumiemy zupełnie, o co tu chodzi. Że drzeworytnictwo nasze prawie zniknęło — to prawda, ale dlaczego? Dlatego, że do współzawodnictwa z niem wystąpił i pokonał je fotodruk, cynkotyp — wogóle przygotowywanie klisz za pomocą wytrawiania chemicznego. Ponieważ cal kwadratowy ilustracyi, który dawniej w drzeworytach kosztował rubla, dziś (w cynkotypach) kosztuje 30—40 kop., więc wydawcy pism obrazkowych rzucili się do tego drugiego typu, który im zapewniał znaczne oszczędności w wydatkach. A rzucili się do niego tak bezwzględnie, że dziś artystyczny drzeworyt, wykonany w Warszawie, należy nie do białych, ale do fioletowych kruków. Za tym zwrotem poszła katastrofa, druzgocząca życie nawet najznakomitszych naszych drzeworytników. Pozostali oni wszyscy bez pracy i chleba; jedni z nich uczepili się rozpaczliwie innych zarobków, które nie mogły być dla nich ani korzystne, ani odpowiednie, drudzy zaś dotąd walczą rozpaczliwie z niedostatkiem. I w tem położeniu *Tygodnik* chce podnieść drzeworytnictwo i stworzyć dla niego szkołę? Po co tu podnoszenie i po co szkoła, jeżeli tacy utalentowani artyści, jak Holewiński, Gorazdowski, Zajkowski i długi szereg innych nie mają właściwej pracy, jeżeli tak poważne i cenne siły nie są prawie wcale zużytkowane? Czy nie prostsza droga powołać gotowe, zamiast kształcić świeże, których wartość jest jeszcze wątpliwa, a przyszłość smutna? Bo jeżeli utalentowani i wyćwiczeni artyści skazani są na brak zajęcia i niedostatek, to czegóż oczekiwać mogą młodzi? Zamiar *Tygodnika ilustrowanego* jest w zasadzie bardzo dobry, gdyż rzeczywiście aż smutno patrzeć na ten zanik u nas sztuki drzeworytniczej, która tak niedawno jeszcze w Warszawie pięknie kwitnęła i która za granicą w mniejszych miastach i uboższych wydawnictwach stoi na wysokości swego rozwoju; ale dla osiągnięcia tego celu nie potrzeba niczego dopiero stwarzać.

Rzeczywiście dziwne.

Wiek przytacza z *Przeglądu katolickiego* bardzo ciekawe odkrycie. Ostatnie z tych pism dostrzegło w *Gazecie policyjnej* następujące ogłoszenie:

Nagrody rb. 10. Jadąc z Łodzi do Warszawy, zgubiono portfelik, w którym znajdowały się dwa bilety bezpłatne roczne II klasy, wydane dla członka Brytańskiego i zagranicznego Towarzystwa Biblijnego przez Zarządy kolei Warszawsko - Wiedeńskiej i Iwangrodzko Dąbrowskiej. Uprasza się zwrócić itd.

Nawet nie stojąc na stanowisku *Przeglądu*, należy przyznać słuszność jego zdziwieniu nad „uprzejmością dróg żelaznych Wiedeńskiej i Dąbrowskiej, dających bezpłatne bilety drugiej klasy panom, którzy prowadzą u nas zagraniczną propagandę protestancką." Jest to tem dziwniejsze, że zarządy kolei udzielają bezpłatnych biletów bardzo mało i tylko w wypadkach wyjątkowych. Wiadomo każdemu, kto starał się uzyskać tego rodzaju ofiarę dla jakiegoś biedactwa, z jakiemi spotykał się niejednokrotnie trudnościami, a często z niepokonanym oporem. Tymczasem Brytańskie Towarzystwo Biblijne... Czem ono zasłużyło na ten przywilej?

Jeszcze „przyjaciel."

W jednym z poprzednich numerów wspomnieliśmy o rozczarowaniu, jakie sprawił swym wielbicielom „nasz przyjaciel," prof. Delbrück, po powrocie z wycieczki do Warszawy. Skutkiem tej notatki ktoś przypomina nam, że ten „nasz przyjaciel" wydał przed paru laty broszurę p. t. „Polenhetze," w której ubolewa nad nieudolnością i bezskutecznością obecnego systemu germanizacyjnego i zaleca inny, którby szybko i niezawodnie doprowadził do celu. Jednocześnie „nasz przyjaciel" z oburzeniem odpiera posądzenie go o sympatye dla Polaków. My za to wszystko nie mamy żadnej pretensyi do prof. Delbrücka, który jako Niemiec jest ze swojemi uczuciami w zupełnym porządku, zwłaszcza że nie usiłuje ich maskować obłudą. Ale mamy pretensyę do tych naszych bałamutów opinii publicznej, którzy ją ciągle wprowadzają na błędne drogi i zaciemniają jej rozum zmyśleniami.

Niedbalstwo.

Jeżeli nawet w najpowszedniejszych stosunkach życiowych wymagamy wzajemnie od siebie zachowywania pewnych form estetycznych, to chyba literatura ma prawo żądać ich w najwyższej mierze. Jest to przecie najwytworniejszy salon. Tymczasem są u nas ludzie, którzy nie śmieliby pójść w tużurku na bal do najzwyklejszego dorobkiewicza, a ukazują się w szlafroku na widowni literackiej. Śród najnowszych tworów naszej beletrystyki spotykamy takie niedbalstwo autorskie, takie lekceważenie tego najwyższego towarzystwa, jakiem jest całe społeczeństwo, że nas ogarnia zgroza lub smutek. A tych grzechów dopuszczają się nietylko wyrabiacze nędznych ramot, lecz także pisarze utalentowani i używający pewnego rozgłosu. Ot np. przejrzyjcie świeżo wydany zbiorek opowiadań Gamastona p. t. „Lwia miłość." Co chwila będzie wam się zdawało, że do was przemawia nie artysta. ale jakiś wesoły fryzyerczyk lub kelner, który „stałuje" potrawy, „wsuwa porcye," „absztyfikuje się" do kobiet itd., a gdy jego towarzysz wspomni o sławnym Kochu, on pyta: „czy to kuzyn tego Kocha, u którego jadaliśmy kiełbasę z kapustą na Senatorskiej?" Taki to język i taki dowcip. Okropne! Gdybyśmy coś podobnego znaleźli w „Naszym półświatku" pana Emde, w robocie pozbawionej sensu, składni, wszystkiego wreszcie, co utwór artystyczny posiadać winien, to nas nie zdziwiłoby i nie zasmuciło, ale w pracy pisarza, który już dosłużył się pewnej rangi literackiej!

Tragedya handlu.

Czytelnicy nasi wielokrotnie już mieli przedstawione w łamach *Prawdy* obrazy wielkich skupień handlu pod postacią olbrzymich magazynów oraz wyjaśniony ich wpływ na dawne postacie i rozwój wymiany. Ktoby wszakże chciał jeszcze bliżej zaznajomić się z tą ważną sprawą, znajdzie doskonały jej wykład w świeżo wydanej po polsku broszurze W. Mataja p. t. „Wielkie magazyny i drobny handel." W niej przypatrzeć się można dokładnie tym nowoczesnym Lewiatanom handlu pożerającym małe jego rybki. Nie są to jedynie przedmioty ciekawości, które korzystają chwilowo z przyjaznych warunków, wytwarzając dla siebie ogromne zy-

ski a dla swych ofiar nędzę, ale są-to nowe formy rozwoju stosunków wymiennych i z tego względu zasługują na uwagę. Mnożą się one ciągle, pomimo rozpaczliwej obrony ginącego drobiazgu, a tu i owdzie przeszkód miejscowych, ale nie ulega wątpliwości, że ta tragedya handlowa skończy się ich tryumfem.

Towarzystwo artystyczne.

Mamy więc jeszcze jedno Towarzystwo, zespalające pracowników lub miłośników sztuki. Powstało ono w Warszawie pod nazwą Towarzystwa artystycznego w celach następujących: 1) połączenie i zbliżenie artystów wszelkich gałęzi sztuk pięknych, 2) dostarczenie możności artystom początkującym doskonalenia się w ich specyalnościach; 3) pomoc wzajemna (wydawanie członkom pożyczek i wsparć). Dla osiągnięcia tych celów Towarzystwo ma prawo: urządzać wykłady i odczyty publiczne z zakresu sztuk pięknych, wieczory artystyczno-dramatyczne, koncerty, bale, maskarady, przedstawienia i wystawy artystyczne; ustanawiać konkursy artystyczne, wyznaczać nagrody, medale i listy uznania; utrzymywać bibliotekę i urządzać zebrania artystyczne; wydawać dzieła i rozprawy z dziedziny sztuk pięknych; pomagać do otrzymywania przez członków Towarzystwa zamówień, dotyczących ich specyalności, z gwarancyą ze strony Towarzystwa: urządzać i utrzymywać w lokalu instytucyi grę w szachy, domino i bilard. Mimowoli nasuwa się pytanie: czy nie za dużo mamy towarzystw artystycznych? Czy nie zanadto wysilamy się w tym zakresie i rozpraszamy siły? Niektóre szczegóły ustawy wskazują nam jednak, że instytucya ta poniekąd ma racyę bytu, gdyż wyrosła na gruncie braków innych towarzystw artystycznych, przedewszystkiem jeden cel jest bardzo sympatyczny, nadający prawo obywatelstwa nowej instytucyi: popieranie sił młodych. Jak wiadomo, do Towarzystwa sztuk pięknych dostać się mogą ludzie faworyzowani i protegowani lub posiadający uznanie powszechne. Młode talenty muszą walczyć z wielkiemi trudnościami i choćby stworzyły najpiękniejsze dzieła, nie znajdą wstępu do tych salonów, a jeżeli znajdą, to w takim kącie, że ich nikt nie dostrzeże. W zakresie muzyki artyści początkujący mają również mnóstwo trudności. Może więc nowa instytucya przyczyni się do rozwoju niejednego talentu, może wogóle potrafi podnieść poziom artystyczny i umysłowy wszystkich pracowników tej niwy. Wreszcie niezmiernie ważnem zadaniem jest troska o ich byt, dziś wogóle bardzo nędzny. Jeżeli więc Towarzystwo będzie się rozwijało prawidłowo, jeżeli potrafi wywalczać sobie środki za pośrednictwem tej niezmordowanej wyżymaczki koncertowo-dramatyczno-balowo-maskaradowej, to niewątpliwie przyniesie pewien pożytek gromadce ludzi, którym odwaga lub powołanie kazały obrać zawód artystyczny.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYRODOZNAWSTWO.

Wydawnictwo popularne. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1898—99.

Pożyteczne w założeniach, dostępne w wykładzie i obrobieniu, lubo nie w jednym, ale w równym stopniu „popularne" to wydawnictwo, składa się obecnie z piętnastu tomików, obejmujących niemal wszystkie elementarne działy przyrodoznawstwa: astronomię, fizykę, geologię, chemię, mineralogię, botanikę — nawet meteorologię. Dziedzina biologii — rozległe jej działy fizyologiczne i psychologiczno-fizyologiczne, dotąd w zawieszeniu. Szerzej natomiast uwzględniono niektóre zagadnienia szczegółowe, wychodzące z zakresu elementarnego kursu nauk ścisłych, przyrodniczych; do takich między innemi należą: ciekawa i starannie opracowana rozprawa Stanisława Kramsztyka o kometach i gwiazdach spadających; Zaborowskiego „Światy zaginione" (przekład z francuskiego, przerobiony nieco przez I. K. Potockiego, o gatunkach roślin i zwierząt zamarłych lub przeobrażonych, poprzedzających dzisiejszą fazę życia organicznego na ziemi); A. K. S.: „Świat podbiegunowy"; S. Sterlinga wskazówki o pielęgnowaniu zdrowia; traktat Jana Steckiego, wkraczający w dziedzinę nauk społecznych, o ekonomice itd.

Napomknęliśmy o nierównym stopniu popularyzacyi. Istotnie, gdy Zaborowski opowiada nam o „gruboskórnych oceanowych," które „dały początek lemurom," a dopiero „w końcu zjawił się dryopithecus, którego formy zapowiedziały ukazanie się typu ludzkiego" — spostrzegamy najdokładniej, że tomik przeznaczony został dla umysłów bardziej rozwiniętych, wykształconych niemal po uniwersytecku; nawzajem, gdy w tomiku o astronomii czytamy: „jak kamień przywiązany do sznurka i szybko obracany dokoła ręki, tak kula ziemska, uczepiona do słońca z pomocą siły przyciągania, nie może od niego odbiedz na bok" — to tym razem musimy wyznać, że parabola obliczoną została na rozmiary pojętności dziecka. Byłoby do życzenia, ażeby specyalne kółko uczonych, zaproszone przez wydawców, czuwało nad urównoważeniem metodologii wykładu w opracowaniach pojedynczych.

Pociągnęłoby to za sobą inne jeszcze ulepszenie, nader pożądane w bibliotecze ze wszech miar zasługującej na poparcie ogółu polskiego, wśród którego wiedza przyrodnicza utrzymuje się dotąd—jak się zdaje — na dość nizkim poziomie. Określiłoby się może nieco dokładniej, o co i o kogo chodzi. Z luźnych zdań i twierdzeń, rozrzuconych po tomikach, tej osnowy np., że „Cuvier nie miał umysłu dość filozoficznego, aby się przejąć poglądami Lamarcka," albo też z pochwał i uniesień nad przyszłością cywilizacyi wzniesionej na podstawie zastosowań chemii do farbiarstwa, fotografii lub sztuki kulinarnej - trudno się domyśleć, czy redakcya wydawnictwa ma na widoku raczej wiedzę oderwaną, czy też naodwrót, bardziej zastosowawczą. Człowiek dwojako bada przyrodę. Raz teoretycznie, w bezinteresownych celach poznania, co i jak jest, drugi raz praktycznie, w zamiarze wyzyskania praw i skarbów natury na rzecz swego dobrobytu. Dwa te tryby postępowania w faktycznym rozwoju umiejętności mieszają się z sobą, wzajem za siebie zachodzą, wspierając się zobopólnie lub też, niekiedy, chwilowo, zawadzając sobie (w tym drugim razie, gdy np. wynalazczość wojskowa nadmiernie pochłania uwagę techników, z uszczerbkiem agronomii, przemysłu fabrycznego itp.). Górnik świdruje ziemię dla dowiedzenia się, czy w jej uwarstwieniach znajduje się węgiel potrzebny mu jako paliwo; jeśliby jednak przypadkowo w robocie trafił na grobowiec człowieka pierwotnego („troglodyty"), odkrycie jego zbogaciłoby paleontologię — gałąź wiedzy niedostarczającą nam dotąd korzyści, jakie ciągniemy z materyałów opałowych. Nawzajem, doświadczenia naukowe nad ciśnieniem powietrza nie miały zamiaru przyjścia z pomocą hygienie, ale zbudowany na ich podstawie barometr wybornie już troszczy się o nasze zdrowie, wskazując w chwili, gdy wychodzimy na przechadzkę, czy mamy brać z sobą kalosze, czy szerokoskrzydlaty kapelusz słomkowy. Od autorów, traktujących naukę dla nauki, nikt nie żąda odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób kojarzą się w ich przedstawieniach przeplatane zdobycze teoryi i praktyki, ani któremu z tych kierunków nadają przewagę. Inaczej staje sprawa, gdy w książce zabiera głos popularyzacya i pedagogika. Kogokolwiek chcemy nauczyć, musimy przedewszystkiem jasno sobie zdać sprawę z tego, dokąd go prowadzimy i co z ucznia zrobić chcemy: wielbiciela i naśladowcę Kopernika, czy też sprawnego marynarza i pojętnego czeladnika murarskiego. *Tur.*

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

III.

Kazimierz Sterling: *Abbadonah*, poemat w 4-ch pieśniach. Warszawa, 1899.

Często słyszymy skargę, że nasza twórczość poetycka rozprysła się na kropelki, że pieśniarzom naszym starczy tchu chyba na sonet lub kilkunastowierszowy „nastrój." Uznanie więc nasze musi pozyskać każda próba szerszego rozmachu skrzydeł, a taką próbą jest poemat o filozoficznym zakroju p. Sterlinga. Wyznać musimy, że próba jego nie wydaje się nam udatną. Można z dzieła p. S. wyjąć kilka ładnych miejsc, lecz ogólne wrażenie dla autora przychylne nie jest. Dotknąwszy kilku najboleśniejszych zagadnień, szarpiących duszę współczesną, nietylko nie rozwiązał żadnego z nich, o co mniejsza, lecz nie poruszył nawet w taki sposób, abyśmy otrzymali wrażenie głębi tych tajemnic.

Na wstępie już wzbudza w słuchaczu niedowierzanie modernizm autora. „Rzeka ciekawości," „zieleń nadziei," „czarne fale zwątpienia," „jak psy wierne, krwawe stóp ślady po opoce biegły..." czy nie są to skojarzenia, które się potworzyły po za „logicznymi związkami" pojęć? „W pośrodku szarej pustyni ludzkiego życia wznosi się biała skała przeznaczenia" — scenerya ta nie jest wyjętą z dramatu Maeterlincka, ani Hercolanda, lecz z III-ej pieśni poemat „Abbadonah." Otóż ta zieleń nadziei i biała skała przeznaczenia jest mi podejrzaną. Spojrzmy na taki obrazek. Poeta w bardzo melancholijnem usposobieniu przechadza się w noc księżycową po ogrodzie, wyczekując Abbadony. „Siadłem na ławce pod kasztanu drzewem, *księżyc mi blaskiem srebrzył ciemne włosy* i kładł się cichy i biały na pola." Ktoś ze strony mógł to istotnie widzieć, poeta zaś tylko *wie*, iż ciemne jego włosy były osrebrzone. Wrażeniom jego brak bezpośredniości. Stańmy na rogu prostokątnego domu w ten sposób, aby krótszy jego bok był przed naszem okiem, dłuższy zaś uciekał w głąb. Powiadamy zazwyczaj, że *widzimy*, jaki jest stosunek długości pomiędzy obiema ścianami. Dość wszakże oznaczyć na szybie szklanej skrajne punkty linij, aby się przekonać, iż oko chwyta tylko skróty, że dłuższy bok jest przez nas widziany jako krótszy. Przecież jednocześnie z wrażeniem umysł nasz czyni błyskawiczny wniosek z nieskończonego szeregu poprzednich doświadczeń i wniosek ten myślowy pochłania i wykrzywia bezpośrednie wrażenie. Zjawisko to, o ile znajduje swój wyraz w poezyi, wywołało skargi na „supremacyę myśli nad słowem" i wpłynęło poniekąd, jeśli się nie mylę, na wytworzenie teoryi kojarzeń po za „logicznymi związkami." Szczery artysta musi się nauczyć

widzieć i czuć to, co naprawdę widzi i czuje. Ta dążność otwiera, rozumie się, szeroko wrota dziwactwom i innym złudzeniom, lecz nie o tych mowa. Otóż czy nie wykracza p. St. przeciw prawdzie wrażenia w wytkniętym ustępie? I czy „skały przeznaczenia w pustyni życia“ i tym podobne rzeczy są to błyski żywiołowe, są to cząstki wizyj jego? I dlaczego zapędza się tak daleko w kierunku „zielonych nadziei,“ iż „Bóle duszy“ Koszutskiego, ów skowyt we wszechświecie, wygląda na umyślną trawestacyę niektórych, dawniej już drukowanych ustępów z „Abbadonah“? Wyobraźnia, szybująca już znużonym lotem tuż nad ziemią, często uczuwać będzie brak sił, gdy się wzbije nad skalne szczyty i morskie odmęty. Podążmy za nią w te przestwory.

Poemat p. Sterlinga, ściśle biorąc, nie jest całością. Względna niezależność jego części znajduje wyraz zewnętrzny w rozmaitości formy, w ciągłych zmianach miar, w prozie, połamanej przecież w spadki rytmiczne, w paralelizmach hymnów wedyjskich lub biblijnych (może wprost z Nietzschego wziętych), to znowu w wierszu nierównym, tak chętnie przez dzisiejszych poetów używanym itp. Wstępem dzieła i jego pierwszą pieśnią jest wspomniane już przez nas oczekiwanie Abbadony, ducha zwątpień i krytyki, i dążenia ku nieznanym światom. Trzeba dobrej woli ze strony czytelnika, aby uznać za niezbędne lub pożyteczne istnienie w poemacie tego wygnańca z dziedzin światłości i równowagi duchowej. W utworze nie gra on bowiem żadnej roli. I jeszcze jedno. Potężny władca krainy mroków wieczystych rzadko wchodzi w bliskie stosunki z tak marnemi istotami, jak ludzie, trzeba je zmusić do tego zaklęciami, w których tkwi siła czarodziejska. Na wezwanie stolików pukających stają tylko duchy samozwańcze i głupie, lecz Faustowi ukazał się Mefistofeles, a Kainowi Lucyper. A cóż się dzieje u p. Sterlinga pod kasztanem? Poeta nucąc „na dum własnych i szczęścia mogile pieśń pogrzebową,“ wciela się po kolei w drzewa wierzchołek i w rzeczułki fale i marzy o kimś dalekim... dalekim... i „serce mu drżało do uciech, do łask (?).“ I oto z tego roztkliwienia ma powstać bóg płomienisty, „praojciec odwagi i siły, odwiecznej miłości bez granic i pęt, wolności, której tama nie zatrzyma“? Nie, nie, tak nie było.

Niezależne cząstki utworu wiąże z sobą obietnica Abbadony doprowadzenia poety „do podwoi prawdy.“ „Chcę ci pokazać, ile gwiazd, barw tęczy rzuca myśl ludzka na życia przełęczy, ile się woli, ludzkich pragnień łamie, zanim do czynu podniesie się ramię, ile się mózgów dlatego wysila, by światu nowa zabłysła dum chwila...“ Tylko drobną, oczywiście, cząstkę tych wysileń ludzkich mógł opowiedzieć nam autor w swych „psalmach przyszłości“ — bo tak się nazywa pieśń druga jego dzieła. Psalmy te wyglądają poniekąd na komentarz do doktryny Nietzschego. Kiedy znikła z oczu „niewolników“ przesłoniona chmurą postać, „co zwierciadło niosła, w *którem siebie widzieli*,“ na nizinach ludzkich zrodziło się zamieszanie, niepokój. „I wszyscy kurczowo zaciskali pięście i wszystkich się serce krwawiło.“ Aż oto powstał mocarz, szatą się z „siebie“ owinął, kij z wiedzy i siły ostrugał,“ i darł się na szczyty. „Gdzie stąpił na głazy, tam jako psy wierne, krwawo stóp ślady po opoce biegły.“ Wreszcie zatrzymał się, gdzie nad nim już tylko niebo królowało. Z doliny wzbił się ku niemu jęk, lecz nadczłowiek hardo odpowiedział: „Niema światła na szczytach, niema dla tłumu, niema dla nikczemnych. Niema blasków na górze, niema ich dla słabych...“ Twarde są słowa, ale nie brzmi w nich oschła wzgarda samoluba, tylko nieubłagana konieczność praw ducha ludzkiego. „Każdy świątnicę niechaj stawi *sobie*, każdy niech bóstwo z *swych* cegieł ułoży, każdy niech w szczyty *swoje* jeno patrzy. *Bo gdzie wam Bóg, gdy nie w was, bo gdzie wam wiara, gdy nie w was*, bo gdzie wam słońce i ciepło gdzie wam, gdy nie w was się żarzy.“ Nadczłowiek, zburzywszy „podparty filarem nawyknień“ zamek przesądów, legł pod jego zwaliskami, rozpryśnięte cegły potoczyły się w dolinę. „I porwał każdy z tych w nizinach cegłę, chwytał cegłę, co najbliższa była i począł budować...“ A jeden z tych okruchów podjął p. Sterling, wszak prawda?

W współczesnym języku estetycznym odróżnia się często alegoryę od symbolu. Alegorya zazwyczaj to tylko rozszerzone porównanie, bez własnego życia. Symbol — to obraz, który na obłokach odbija się zolbrzymiałym cieniem, ku któremu odwracają się oczy, zdąża myśl, który z nas samych wywołuje na jaw nowe światy... Nie sądzę, żeby poeta chciał w „psalmach“ swych stworzyć alegoryę nauki i losów mędrca Zaratustry. Ale czy stworzył symbol? Każdy sobie swoją świątnicę ma zbudować? Ależ tak. Lecz jakąż *autor* zbudował *dla siebie?* To tylko, i tylko to chcemy wiedzieć. Nie postawił żadnej... Z rumowisk zwalonego zameczyska nowe gmachy wznieść? Ależ znowu ta cegła to tylko znak jakiegoś pojęcia, lecz nie samo pojęcie... Cofnijmy się myślą ku dawnym naszym poematom symbolicznym, ku „Dziadom,“ „Nieboskiej,“ „Przedświtowi...“ Pomimo romantycznego chaosu i półmroku, jaka tam określoność, jaka głębia treści!.. A u współczesnych filozofów, u Langego i Sterlinga, algebraiczny znak zamiast ilości, formy myślowe zamiast myśli, technika budowy zamiast samej budowy! Nie, nie w ten sposób stwarzają się „psalmy przyszłości“! W dziedzinie postrzeżeń — pseudowrażenia, w dziedzinie uogólnień — pseudosynteza .. I tak do końca.

W „pieśni“ trzeciej mamy świetne czasem obrazy przyrody i wewnętrznych wytworów ludzkiego „ja,“ a to by przekonać nas wreszcie, że „niemasz ciszy, niemasz dźwięku, jeno nastrój swej duszy... Niemasz prawdy, niemasz kłamstwa — jeno bolesne dążenia. A co inne — to złuda, co inne — to mary, to sen idealny ludzkości.“ Wszystko, wszystko jest wytworem mózgu. „Więc jakto? Czyż owa pustynia tak szara, tak wiecznie bezbarwna, tak oko nużąca... ta przestrzeń tak pusta, martwa i cicha, jak groby wilgotna i mdła, jak tęsknota-- to życie, co bucha jak szampan z kielicha?“ Tyle zachodu, taki aparat fantastyczny i olbrzymi, by przyjść do wyniku tak surowego? Wreszcie pielgrzym, sprowadzany po pustyni żywota przez „ducha pragnień i postępu“ dojrzał trupią czaszkę. „To otchłań, którą przebyłeś przed chwilą, co duszę siatką oplotło motylą i zmysłów twoich zrodziło igraszkę.“ — Więc cóż? Halucynacyą jest nasz świat? Niemniej halucynacya ta jest trwałą. Złudą i snem są nasze dążenia? Z snu tego nigdy się nie obudzimy. Wraz ze śmiercią naszą słońca zagasną, wszechświat w nicość zapada? To jeszcze nic. Bo jednostka mocą konieczności w sobie złożonej posiada cudowną siłę przedłużania swego istnienia, wyrzucania się na zewnątrz własnej istoty. Z pokorą chadzamy w codziennym deptaku naszego życia, iżby dzieciom ich ścieżki wygładzić. Dzieci zaś będą nas naśladować — i tak w nieskończoność. Bo jednostka wie o sobie, że jest przemijającą, że ród tylko żyje. Odgradzamy się od ludzi, pogardzamy tłumem, a jednak kochamy społeczeństwo z tych obojętnych lub nienawistnych nawet osobników złożone; wyrzec się możemy nadziei pamięci pośmiertnej, lecz do życia nam potrzeba wiary, iż to społeczeństwo trwać będzie, i sobie się nie sprzeniewierzy, i nie będzie nawozem użyźniającym obce niwy, sokiem krążącym w obcych dębach i bukach... A tak zawsze jednostka mieści ognisko życia przed sobą. Olbrzymia niekonsekwencya, którą żyjemy i żyć musimy...

A teraz wyobraźmy sobie, że ta gromada, której nieśmiertelnością sami nieśmiertelność zdobywamy, że ta gromada staje się pyłkiem przestrzennym. Oto zestarzała ziemia przestanie kurczyć się i piętrzyć na sobie górskie grzbiety, woda za miliony lat spłucze całą powierzchnię i na dnie morskiem ją złoży. Być może gdzieś mgławica inne słońca zapali, które świecić będą szczęśliwszym niż nasz światom. I cóż nam z tego, jeśli my własnej puścizny nikomu nie przekażemy? Ludzie kiedyś walczyli, zwyciężali i padali zwyciężeni. Zostawili nam nieprzebraną ilość prawd naukowych, dzieła sztuki, owoce swych natchnień idealnych. My oto kłócimy się o starą i nową sztukę, o nowe formy bytowania ludzkiego... I po co to wszystko, i po co, jeżeli nietylko człowiek przemija, lecz i ludzkość, nietylko jednostka, lecz i jej ród? To dopiero jest straszną zagadką i straszną groźbą. P. Sterling zbliżył się do tej wizyi i napisał: „oto jest czaszka ludzkości,“ lecz pomyślał: czaszka człowieka... I nie stworzył symbolu. Jak zraniony ptak potężnym rozmachem zrywa się do lotu, lecz obezwładnione i znużone skrzydło opada... Przez skalne urwiska wije się dróżyna, której sfinks strzeże, a tylko ta ścieżka do świątyni prowadzi. „Choć to droga nie jest krzyżowa, choć męczarnia przejść kawałek, choć w mogilne pęta kowa, jednak bywa taki śmiałek.“ Ta dykcya niezręczna, jakby z bajki o strachach, uczucia grozy nie budzi, lecz obniża wrażenie. Nie dbam o ten szczegół, ani o znaczne niekiedy usterki stylowe, ale przykrem jest to, co na pierwszy rzut oka niepowszedniem się zdało, ścieśnia się i skupia, i małem się staje. Sfinks zadaje śmiałkowi trzy pytania w ciągu poematu rozwijane: jaka jest istota życia, jego cel i co prawdą mienić trzeba. Śmierć niechybna czekałaby zuchwalego, gdyby nie jego przytomność umysłu. Zręczną zamianą ról chwyta biednego sfinksa w pułapkę, wymagając od niego legitymacyi: „kto pytania dał ci prawo?“ I „potwór począł grzęznąć, coraz głębiej w skale siedzi.“ I to jest synteza. Autor orzeźwił się w krynicy, nad którą napisano: *życie*. Zbywszy się trwożnych wątpliwości, zanucił entuzyastyczną pieśń, nawołującą do pracy, do walki. „Do czynu, bracia, czas wam do czynu! Dość rąk łamania, rozpacznych skarg. Ten godzien jeno wieńca wawrzynu, komu pieśń strachem nie krzywi warg.“

Tak, zaiste, potwór pesymizmu nie ma prawa nierozwiązalnemi zagadkami strącać nas w topielisko zwątpień, w których grzęznąc, nie czujemy zdolności do czynu. Istotnie, najlepszą opowiedzią na rozpaczliwe tezy sfinksa jest samo życie. Przyroda włożyła w cały świat ustrojowy, w którego łonie ludzkość się mieści, taką nieskończoność żądzy istnienia, tak żywiołowy rozpęd ku trwaniu, że żadna filozofia tamy mu nie położy. Czy życie jest złem w swej istocie, czy przeważa w niem suma cierpień, czy radości, czy ma ono jaki cel, czy nie — trwać będziemy, bo musimy, jak pnie się w wyżynę „niebopienny“ eukaliptus, pleni się lichy grzyb, jak rodzą się antylopy, aby być zjadanemi przez lwy, i lwy, aby zjadać antylopy. To prawda, to prawda. Ale czyż istotnie ktobądź nie żył i nie walczył, póki mu nie udowodniono w konstrukcyi sylogizmowej, że żyć i walczyć *warto!* Nie, nikt się nie troszczy o jakieś logiczne braki w teoryi życia. Logicznych dramatów niema. Są natomiast uczuciowe. Każdy sobie ma świątnicę wznieść? Toć każdy własnego sfinksa stwarza, a gdy *ten* oślepi oczy przerażającym blaskiem tajemnic i zagadnień, tryskających właśnie z tej samej krynicy ży-

cia, do której nas poeta prowadzi — o, jakąż wtedy korzyść odniesiemy z wybiegu, użytego przez śmiałka z „Abbadony"? Jego snać pytania sfinksowe nic a nic nie obchodziły.

(C. d. n.).

A. Drogoszewski.

KARTKI KRAKOWSKIE.

13 listopada.

Teatr krakowski. — Repertuar po wakacyach. — Personel. — Drużba. — Jan Kochanowski.—Sonata.

Teatr krakowski, jeżeli chce być przez wszystkich odwiedzanym, musi mieć podwójny repertuar, a to wymaga niemałego nakładu staranności, pracy, pieniędzy, umiejętnego śledzenia za tem, co najlepsze, a zawsze nowe. Do ciągłych nowości bowiem przywykła nasza publiczność, żąda ich co tydzień, a choć dziś sztuki dramatyczne rodzą się obficie, trudno uniknąć rzeczy starych. P. Kotarbiński odziedziczył w spadku po dawnej dyrekcyi wybredne wymagania publiczności, przy tradycyach wysoko stojącej sceny polskiej. Zatrzymał wprawdzie cały prawie personel teatralny, a zatem artystów wybornie wyszkolonych, rozumiejących, jaką ma wartość harmonia gry dla każdej sztuki. Szkoda tylko, że personel ten nie jest liczniejszy.

Repertuar dotychczasowy (teatr otwartym jest po letnich wakacyach od ostatnich dni sierpnia) przyniósł nam parę godnych uwagi przedstawień: znalazł się na scenie i Słowacki („Złota czaszka") i kilka nowych sztuk polskich na tle ogólniejszem, wprowadzono niegrane dotąd „Podpory społeczeństwa" Ibsena, w ostatnich zaś tygodniach widzieliśmy utwory Bałuckiego, Zapolskiej i Kisielewskiego.

Drużba, trzyaktowa komedya Bałuckiego obraca się w sferze życia mieszczańskiego, jest wesoła, bezpretensyonalna i dość banalna. I. Mączkowski, piekarz, ma trzy córki i kamienicę, w której wynajmują mieszkania studenci uniwersytetu. Panny są ładne i śmiałe, a choć jedna wychodzi za dość ordynarnego rzemieślnika, inne patrzą wyżej. Jeden ze studentów zakochał się w Julci, eleganckiej i miłej. Ale uważa on za ubliżenie sobie małżeństwo z córką rzemieślnika. Gdy wszakże znalazł się inny kolega, który na seryo myśli o pannie, tamten czuje zazdrość i oświadcza się ojcu. W ostatnim akcie występuje morał, że wszystkie stany łączyć się powinny, morał dawno stosowany przez studentów galicyjskich względem córek rzemieślników, posiadających kamienice, a w dodatku dobrze wychowanych. Gdyby nie zbytnia rozwlekłość akcyi, która przy braku wszelkiego podkładu psychicznego w osobach działających, grzeszy banalną trywialnością, mogłaby *Drużba* przez czas dłuższy rozweselać publiczność niedzielną. P. Bałucki jest zawsze dobrym farsistą, ale unikać powinien scen melodramatycznych, które wypadają niesmacznie. Taką jest np. scena ze stuletnią babką, która udziela błogosławieństwa weselnemu gronu.

Jan Kochanowski, dramat w pięciu aktach p. Gabryeli Zapolskiej, posiada wszystkie cechy twórczości tej autorki, choć jest od innych słabszym. Pani Z. maluje tu patryarchalno-surowe obyczaje; korowody dziewcząt czystych, jak ich welony, kobiecość pokorną, a skromną. Mniej to właściwy przedmiot dla jej talentu, niż postacie w rodzaju Żabusi lub dramatyczne wstrząsające grozą treści, a wiernością odtworzenia sceny ze społecznych jej dramatów. Takie wrażenie odniosłem z jednoaktówki „Dziewiczy wieczór" i takie uczucie ckliwego sentymentalizmu wynosi widz z teatru po przedstawieniu „Jana Kochanowskiego" *).

Na *Sonatę* p. Augusta Kisielewskiego z gorączką niemal oczekiwał inteligentny Kraków. Zajmowała się nią także młodzież uniwersytecka, do której p. Kisielewski dotąd należy wiekiem, prasa spodziewająca się nowych rzeczy po talencie autora „Karykatur" i „W sieci." Na kilka dni naprzód ustępy tego utworu czytane były publicznie na dochód uniwersytetu ludowego, to też bilety rozchwytano już tydzień przed widowiskiem.

Talent p. Kisielewskiego wśród plejady naszych najmłodszych jest może najwięcej samorodnym. Cechuje go niezwykłe odczucie sceny i zrozumienie jej wymagań, duża brawura w ujmowaniu nowych spraw i stosunków, a zwłaszcza niezwykła psychologiczna zdolność odtwarzania duchowej treści przedstawianych postaci. Zarzucano mu, że nie wybiera wielkich momentów, ani koturnowych postaci. Na ostatnie czas przeszedł, co zaś do pierwszych, to najważniejszym momentem dla każdej ludzkiej jednostki jest wewnętrzne, jej łamanie się z samą sobą i walka z otoczeniem. Tragizmu nie trzeba szukać daleko, bo kryje się on w duszach, które silnie czuć umieją, choćby nawet przysypywała je z wierzchu szarzyzna codzienności.

Taki tragizm przedstawił nam autor w „Karykaturach," silniejszym, bo więcej skoncentrowanym oddycha dawniejszy jego dramat „W sieci," oba ocenione w swoim czasie na łamach *Prawdy*.

Nie można „Sonaty" nazwać postępem w twórczości p. Kisielewskiego. Ale do umysłowości autora wtargnęły nowe pierwiastki, oddziałały na nią wpływy obce, które przetopił już wprawdzie w własnej wyobraźni, ale nie zharmonizował ich dotąd z pierwiastkami zasadniczymi dawniejszej swej twórczości. Stąd niejednolitość w sztuce, stąd brak zespolenia nastrojów z treścią.

Przedewszystkiem jednak słów parę o tej treści, która w znacznej części leży po za sztuką.

Tadeusz Tański, muzyk i kompozytor zakochał się był kiedyś w siostrze swej żony. Żona, kobieta szlachetna, ale namiętna i bezwzględna, w przystępie zazdrości zniszczyła arcydzieło męża, sonatę, a siostrę doprowadziła do samobójstwa. Zniszczenie sonaty jest tu naturalnie symbolem, bo przecież mistrz musiał ją mieć w głowie. Skoro jednak pod przekleństwem katastrofy miłosnej dostaje obłędu, prześladuje go wciąż myśl odnalezienia kompozycyi. Obłąkany przebywa dalej w domu, co wytwarza naturalnie ponurą, pełną scen gwałtownych i przygnębiających wrażeń atmosferę rodzinną.

Tańska, przecierpiawszy katastrofę miłosną, poświęca się wychowaniu jedynej córki Wili, zajmuje się mistycyzmem, stwarza sobie religię czystości i cnoty, którą córkę otacza i wpoić pragnie w bliższe i dalsze otoczenie. Postać jej należy w sztuce do najlepszych i doskonale graną też była przez p. Senowską.

Młoda Wila ma cudowny głos i zaangażowaną zostaje na primadonnę opery. Matka wpajała jej przez całe życie, że powinna żyć dla ludzi, być kapłanką sztuki i nie myśleć o szczęściu osobistem. Wila rwie się przecież do szczęścia i miłości, śpiewać pragnie przedewszystkiem dla siebie i kocha całą duszą młodego malarza, który odpłaca jej podobnem uczuciem. Odziedziczyła po ojcu nadwrażliwość nerwową, zagrażającą nawet jej talentowi, po matce zaś, a może po obojgu, silny erotyzm, który nieszczęścia serca czyni dla niej życiową katastrofą. Dokoła Wili, jako nowej gwiazdy scenicznej, kręci się cała plejada wielbicieli, wśród których jest jedna ciekawa postać, dr. Leliwa. Dekadent, trochę artysta, podkpiwający z purytańskiej atmosfery domu Tańskich, postanowił zdobyć Wilię. Chodzi za nią jak cień, co doprowadza wreszcie do pojedynku z narzeczonym i śmierci tegoż. Zabójstwo wypędza go z miasta, ale przedtem musi on zobaczyć niewiedzącą o niczem Wilę, jak morderca czuje nieprzeparty pociąg do swej ofiary. Scena ta jest głęboką i niezwykłą, godną wielkiego dramatu. Gdy odszedł, Wila próbuje głosu przed występem — głos straciła, a z nim i zmysły. Jedno tylko utkwiło jej w pamięci, jak ojcu sonata: ona musi widzieć narzeczonego, który przyjść obiecał o jedenastej. Zmusza tedy wszystkich w domu, aby czekali wraz z nią. Ostatni akt przedstawia ponurą scenę, w której dwoje obłąkanych, dziecko, duch zabitego i ciemność, rozświetlona jednym ogarkiem świecy, wywołują w widzach nastrój ponury. Mniej wrażenia za to czyni końcowa katastrofa samobójstwa Wili. Otoczenie, a za niem i widownia, patrzy na nie, jako na konieczność, bez okrzyku, ani rozpaczy — zginąć musiała.

Ostatnie dwa akty przypominają „Widma" Ibsena, ale przyznać trzeba, że to nie prosto naśladownictwo, lecz umotywowana dziedziczność i niemniej usprawiedliwiona katastrofa. Wila była zbyt słabą, aby znieść cios losu i przemódz wpływy dziedziczności i otoczenia.

Treść powyższą autor rzuca na tło nastrojów, które ją dopełniać mają. Sceny miłosne np. rozgrywają się w dziewiczym lesie, spowiedź matki przed córką wśród ścian tego samego pokoju, gdzie się rozegrała katastrofa rodziny...

Sztuka p. Kisielewskiego bogatą jest w nowe myśli i nastroje, a przy wybornej grze artystów, zwłaszcza p. Siemaszkowej (Wilia) i pp. Solskiego (ojciec obłąkany) i Kamińskiego (dr. Leliwa) wielkie pomimo usterek pozostawiła wrażenie.

zd.

*) O sztuce tej pisaliśmy po przedstawieniu jej w Warszawie p. t. „Urszulka." *Red.*

MALARSTWO.

Wystawa obrazów Józefa Męciny-Krzesza.

Kuryerkowa reklama, ta układna służka niezawsze prawdziwych wielkości, lecz zwykle wszelkich miernot poprzedziła głośną fanfarą przybycie obrazów Krzesza. Naprzód dowiedzieliśmy się, że austryacki minister oświaty zamówił u niego cykl p. t. „Ojcze nasz," że następnie cykl ten się robi, że wreszcie został ukończony, wystawiony w Wiedniu i, jakkolwiek przyjęty przez krytykę hymnem pochwalnym, jednakże przez p. ministra kupiony nie został. Takie kwiatki wyrastają w błotku dziennikarskiej blagi regularnie przed każdem zjawieniem się u nas jakiegokolwiek przywiezionego z za granicy dzieła. Są one równie niesmaczne jak nudne, a przytem artystom niewątpliwie szkodzą. Po panegirykach reporterskich na cześć smutnej pamięci „Przeznaczenia" i „Idę" Jankowskiego, podejrzanie brzmią pochwały nawet zasłużone. I na ten raz reklama zrobiła swoje: rozdęła coś niewiele przerastającego zwykły poziom do rozmiarów arcydzieła i napędza publiczność do Salonu Krywulta.

Przedewszystkiem jedna uwaga ogólna: „Ojcze nasz" nie tworzy jakiegoś zamkniętego w sobie cyklu, jakiejś całości ściśle we wszystkich częściach zespolonej, jakiejś syntezy form i syntezy treści, a co za tem idzie — nie wywiera żadnego ogólnego jednolitego wrażenia. Są to fragmenty, ułamki, obrazki, do których za motto użyte zostały oddzielne wersety modlitwy, obrazki, które mnożyć było by można do nieskończoności, nic naruszając w niczem ani pomysłu samego, ani dzieła.

Na polance leśnej u stóp krzyża padło na kolana troje osób: młody chłop oparł się rękami o ziemię i wzniósł głowę ku Chrystusowi, który się pochyla z krzyża ku niemu i zlewa na niego i na dwie postacie niewieście w głębi nadziemską światłość („Ojcze nasz, któryś jest w niebie...“)

Przed ołtarzem wielkim w szkarłaty i złoto przybranym chłop leży krzyżem, obok klęczą dwie wieśniaczki („Przyjdź królestwo Twoje...“

Burza piorunami drze chmurny całun niebios. Ku wystraszonym żniwiarzom spływa Chrystus, wyciągając przed siebie kojące, zlewające ciszę dłonie („Bądź wola Twoja...“)

Śród złotej fali zbóż w półsnie i zadumie stanęła spiekota letnia. Klęczącemu żniwiarzowi podaje Chrystus bochenek chleba („Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...“)

W celi więziennej spowiednik wyciąga błogosławiące dłonie nad pochyloną głową skutego w kajdany zbrodniarza. Za oknem widać ramiona szubienicy. W głębi celi, w półmroku smutny Chrystus odsłania krwawiącą się pierś („I odpuść nam winy nasze, jako my odpuszczamy naszym winowajcom...“)

Chrystus w izbie chłopskiej stanął między uzbrojonym w siekierę żonobójcą, a uśpioną na łożu z dziecięciem u łona ofiarą („I nie wódź nas na pokuszenie...“)

Powódź... Na małej tratewce śród potopu fal ojciec, matka i uśpione dzieciątko z trudnością dobijają do brzegu. Z tyłu tratwy Sternik-Zbawiciel pochyla nad nimi litosną głowę („Ale zbaw nas ode złego...“)

Taką jest treść. Czy pomysły oddzielne są ściśle związane z treścią poszczególnych zdań? Nie zupełnie. Czy Bóg, „który jest w niebie,“ na wołanie nędzarzy zeszedł do nich na krzyż z lazurów? Czy bogaty ołtarz z monstrancyą, siejącą blaski, cały w dymach kadzideł skąpany jest „Królestwem“ Bożem dla modlących się kmiotków? Czy wystraszonym żniwiarzom schodzi On objawić wolę swoją w płomieniach błyskawic i w burzy, co po polach jedyne ich rozwieje mienie? Czy w żar południa śród złotych, pełnych, dojrzałych zbóż nie jest ironią w rękach Jego ten chleb miast kruży napoju, który byłby zwilżył spiekłe wargi żniwiarza? Czy ta grożąca za oknem szubienica nie urąga błogosławiącym rękom kapłana, szepczącego słowa przebaczenia? Czy ten Chrystus, broniący ofiary przed zbrodniarzem, ma być antytezą słów „i nie wódź nas na pokuszenie?“ I jedynie Zbawiciel-Sternik zbawia „ode złego“ rodzinę śród nurtów powodzi...

Czysto malarska strona cyklu jest również pod względem wartości bardzo niejednolitą. Każdy obraz — to wiersz, którego oddzielne strofy są ładne, lecz nie wiążą się w całość z innemi, słabemi. Gdzieniegdzie mamy dobrze pochwycony ruch postaci, dobrze, umiejętnie narysowanego człowieka (postacie męskie w „Boże, któryś jest w niebie“ i w „Bądź wola Twoja“) gdzieniegdzie doskonały jest pejzaż („Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj“), w innym znów — światło słoneczne, przedzierające się przez przerwę śród chmur doskonale oświetla dalekie plany krajobrazu („Bądź wola Twoja“). Lecz obok tych umiejętnie pochwyconych ruchów ludzkich obok doskonałych efektów światła, mamy takich ludzi martwych, jak postacie niewieście we wszystkich prawie obrazach, mało plastyczne, źle oświetlone i zupełnie nie bryłowate, niezdradzające pod sukniami ciała, i takie łamigłówki światłocieniowe, jak np. w pierwszym obrazie cyklu, gdzie smuga nieziemskiego światła, wychodząca z poza Chrystusa albo idzie zupełnie w bok, nie zatrzymana przez głowę Zbawiciela, a więc nie może oświetlić klęczącego chłopa, albo też, prześwietlając tę głowę, powinna spłynąć po nad pierwszoplanowym chłopem i rzucić deszcz promieni na pogrążone w cieniu wieśniaczki.

Najmniej może świetnych szczegółów lecz najbardziej sharmonizowaną całość posiada obraz „I odpuść nam winy nasze...“ Wyraz przygnębienia w postaci siedzącego z głową w dłoniach zbrodniarza, pokój i błogosławieństwo, idące od spowiednika, nieziemski smutek wizyi Chrystusa, a jednocześnie zgrzyt sarkazmu, jaki w grobową ciszę celi więziennej wnosi przez okienko groźne ramię szubienicy składa się na treść ściśle zespoloną i ciekawą. Walka zaś światła latarni z wchodzącą szarością bezbarwnego poranku, nie jaskrawa w efekcie, jest po malarsku odczuta i oddana. Na drugiem miejscu po tem płótnie należy chyba postawić „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.“ Tu za całą wartość dzieła starczy doskonałe złote światło i bijące od obrazu gorąco, żar letni.

Myśl ilustrowania jednej z najwznioślejszych modlitw, na jaką ludzkość zdobyć się umiała, nie jest nową i nie jest oryginalnym wytworem fantazyi Krzesza. Wcześniej to już uczynił, zdaje się stary Menzel, wcześniej to już uczynił zresztą Walter Firle, którego tryptyk „Vater unser“ z treścią, zaczerpniętą z życia robotniczego, należy do ozdób nowej Pinakoteki monachijskiej. Ten tryptyk, pełny z życia płynącego realizmu, pełny cichej tragedyi i cichego smutku, pozostawia wrażenie silne i niestarte przez prostotę pomysłu i artyzm wykonania. Temu artyście Krzesz cyklem swoim palmy pierwszeństwa nie wydrze.

Ktoś nazwał naszego artystę Uhdem polskim. Nadanie mu tego tytułu jest dowodem głębokiej nieznajomości prac artysty niemieckiego. Pomijam wielkie różnice w stopniu talentu, w technice malarskiej, lecz sama ideowa strona płócien obu nie może usprawiedliwiać tej nazwy. Uhde jest realistą, tak realistą — pomimo całej banalności tego słowa—to znaczy, że maluje możliwie najwierniej zwykłe życie i zwykłych ludzi, do których schodzi Chrystus, jak starszy, kochający, nieziemsko dobry brat, Syn Człowieczy w każdym calu swego rzeczywistego, realnego ciała, mieszczącego w sobie tylko niebiańsko-czystą duszę: Krzesz zaś na ziemskie tło zwiewa nadziemską wizyę Chrystusa, Chrystusa-Boga, Chrystusa-ducha. I w tem tkwi właśnie główna różnica, stawiająca dwu artystów na dwu biegunach.

Po za cyklem „Ojcze nasz“ wystawił Krzesz kilka portretów. Nie są one wyjątkowo dobre, nie przewyższają niczem całej masy t. zw. dobrych, które nie stanowią rzadkości w czasach naszych. Jedyna niemal ich zaleta, którą rzadko przeciętne portrety posiadają, są wybornie, z zamiłowaniem prawdziwem, szczególniej w postaciach męskich, traktowane ręce. Mają one ogromne życie i wprost swoją własną psychologię (Portret dr. K., popiersie męskie, portret prof. Wagi). Gdy się przyglądamy tym portretom, a następnie przechodzimy do „Ojcze nasz“ uderza nas jeszcze jedna właściwość talentu Krzesza: umiejętność stosowania techniki malarskiej do idei obrazu. Gdy, malując portrety, przeważnie używa kolorów mieszanych na palecie, ze względu na to, że będą one oglądane z odległości niewielkich, w pejzażach ucieka się do impresyi, do kładzenia obok siebie tonów czystych, które, zlewając się ze sobą na odległościach znaczniejszych, dają wyborne efekty kolorystyczne. Te cechy techniki najłatwiej porównać można na portrecie pani P. (nie najlepszym zresztą z tego rodzaju prac Krzesza, gorszym od portretu damy w fotelu na tarasie ogrodowym) i na którymkolwiek z obrazów cyklu „Ojcze nasz.“ Samo dotknięcie pędzla dostraja artysta do rodzaju, jaki traktuje. Silne rysy męskie zaznacza pędzel jego śmiało, szeroko, dość grubo i chropawo kładzionemi płaszczyznami (portret dr. K.), gdy tymczasem mięko pieści i gładzi jedwabną powierzchnię kobiecego ciała (portret pani P.).

„Alkoholicy w szpitalu św. Anny w Paryżu“ doskonale traktowane studyum, wybornie oświetlone, z salą pełną świateł, powietrza i kilku dobrze scharakteryzowanymi typami i postaciami — to jedna z lepszych prac Krzesza. „Śmierć biednego grajka“ zawiele ma reminiscencyj z Pruszkowskiego, za bardzo ją czuć może „Anhellim,“ aby lepsze miejsce śród płócien Krzesza zająć mogła. Jeszcze mniejszą wartość artystyczną posiadają trzy popiersia, z których jedno, damy w lustrze, oraz lepszy może, lecz nie uderzający siłą wyrazu i charakterystyki pastelowy, czy też tylko pastelem podkolorowany portret męski.

Czy Krzesz jest talentem wielkim, jakie zajmuje lub zajmie miejsce w sztuce naszej — są to pytania, na które krytyka odpowiedzieć nie może, póki artysta nie skrystalizował się ostatecznie, nie wypowiedział w jednem wielkiem słowie wszystkiego, na co zdobyć się może. Jest on podobno jeszcze człowiekiem młodym, choć oddawna już maluje. To, co wystawił teraz, czyni wrażenie, jak gdyby dopiero drogi swej szukał.

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

FILOZOFIA. P. Chmielowski: „Filozoficzne poglądy Mickiewicza“ (71 str.). Odbitka z *Przeglądu filozof.*

ETNOLOGIA. Dr. S. Ciszewski: „Wróżda i pojednanie“ (97 str. — 80 kop.).

— „Bajka o Midasowych uszach,“ studyum z literatury ludowej (26 str.). Kraków, nakładem Akad. Umiejęt.

MITOLOGIA. Andrew Lang: „Mitologia,“ przeł. A. L. (180 str.). B. Natanson.

EKONOMIA POLITYCZNA. W. Mataja: „Wielkie magazyny i drobny handel,“ tłom. Z. Makowiecki (127 str.).

MONOGRAFIE. F. Kucharzewski: „Z dziejów techniki“ — Vinci, Stephenson, Heneze, Eiffel, sławni garncarze, Girard — (214 str. — 1 rb.). Wende.

— W wydawanych przez Grendyszyńskiego w Petersburgu „Życiorysach sławnych Polaków“ z portretami wyszły: H. Wernic: „Stanisław Konarski,“ jego życie i działalność wychowawcza (87 str. — 30 k.); W. Nehring. „Jan Kochanowski,“ życie i dzieła (82 str. — 30 kop.); L. Świeżawski: „Jędrzej Śniadecki,“ jego żywot, naukowe i społeczne stanowisko (103 str. — 30 kop.).

MEDYCYNA. Dr. A. Sokolowski: „Alkohol w etyologii i terapii chorób dróg oddechowych“ (18 str.) w „Odczytach klinicznych“ wydawanych przez *Gazetę lekarską*.

HYGIENA. Dr. J. Tchórznicki: „Piekarnie warszawskie pod względem sanitarnym“ (85 str. — 60 kop.).

POWIEŚCI. Gamaston. „Lwia miłość i inne opowiadania“ (306 str.).

— A. K. Smaczniński: „Na dnie otchłani“ dodatek do *Gaz. pol.*

— G. Zapolska: „Z pamiętników młodej mężatki“ (178 str.), Paprocki.

— Szalum-Alechem: „Muzykant,“ romans z życia żydowskiego, tłom. z żargonu H. Lew. (139 str. — 50 kop.), H. Cohn.

— Ig. Dąbrowski: „Pisma,“ tom I „Śmierć“ (246 str.), t. II „Felka“ (190 str.), J. Fiszer.

BIBLIOGRAFIA. K. Estreicher „Bibliografia polska,“ t. XVII, stulecie XV—XVIII.

KALENDARZE na rok 1900: „Kalendarz Ungra“ i „Kalendarz myśliwski.“

POEZYE

ROZCHODNIKI *).

Całowało suchy piasek promienne słońce,
Całowało spiekłe wzgórza złotymi płomyki —
I zostały tych całunków ślady gorejące,
Niby gwiazdki rozsypane—złote rozchodniki.
Oczepiły lśniącą siecią nieużyte piaski,
Gdzie nie chciały kwitnąć cząbry, piołunów ba-
[dyle,
Rzekłbyś — miłość czarodziejska, co promień
[swej łaski
W najnędzniejsze nawet serca wysyła na chwilę.

Pójdą lata—grunt okryją tych roślinek krocie
I oprzędą złotogłowiem matki ziemi łono;
Zaczną zbierać pod listkami ros, deszczów wil-
[gocie
I wyniańczą, wypiastują traw gęstwę zieloną.
I wyrosną bujne trawy, wzniosą harde kity,
Błysną smółek amaranty, mietlic pióropusze,
I zapomną o tej rzeszy zgłuszonej, przybitej,
Co swe karki wprzęga w jarzma, by kwitły ge-
[niusze.

Słodsze wino, gdy w rzeźbionej płonie czarze
[złotej,
Cudo sztuki wykuł rzeźbiarz z marmuru Carara,
Lecz blok głazu wyciosały wyrobnicze młoty,
Z min helota dobył kruszec—piosnka jak świat
[stara...
Piosnka stara jako nędza a jak życie młoda:
Nie wstrzymają skał zastępy wielkiej bytu rzeki;
Byle promyk, byle kropla rosy—wnet przyroda
Budzi jakiś twór i cieni skrzydłem swej opieki.
I—by związać z twardą glebą, gdzie tak ciernie
[rosną —
Gdzie czyhają kły i szpony, głód, mór, ogień
grożą,
Każde z jestestw swych obdarza jedną chwilą—
[wiosną,
Niedającą się zapomnieć promienistą zorzą.
I nie liczą mchy poziome stóp, które je zdepczą,
I nędzarze w jarzmo wprzęgli — mimo gromów
[bicia,
Mimo nędzy, mimo bólu — jedno słowo szepczą
Usty z głodu spieczonemi: Życia.. życia... życia!..
Czyniąc innym podściełisko, tworząc grunt
[bogaty —
Jakiejś mocnej twórczej ręki posłuszne na-
[rzędzie —
Nieświadome, że hodują geniusze i kwiaty,
Przed któremi z uwielbieniem świat wieki
[stać będzie.
Szare wioski, jak wzrok sięgnie, mnożą się bez
[końca
I po wzgórkach, pod brzóz strażą, smętne mo-
[giłniki,
I — zrodzone z płomienistych pocałunków słoń-
[ca —
One drobne, one marne złote rozchodniki.

Adam M—ski.

SPRAWY EKONOMICZNE

KRONIKA EKONOMICZNA.

Rozwój centralizacyi w przemyśle. — Stany Zjednoczone przodują. — Dane statystyczne. — Ogrom trustów i organizowanie produkcyi na olbrzymich przestrzeniach według tego samego planu. — Parę przykładów.

Wielokrotnie już w łamach *Prawdy* wskazywano owo dążenie, właściwe przemysłowi dzisiejszemu i nawet stanowiące jeden z najbardziej znamiennych rysów doby obecnej, jakiem jest tendencya ku coraz większej jedności i centralizacyi warsztatów i wogóle przedsiębiorstw. Występuje ona we wszystkich krajach, chociaż z niejednakową siłą, w żadnym przecież nie posiada tak ostrego charakteru, jak po tamtej stronie Atlantyku, w Stanach Zjednoczonych. Społeczeństwo amerykańskie przedstawia w chwili obecnej obraz wzrastającego ujednostajniania warunków produkcyi, przewozu i handlu — ujednostajniania, wynikającego stąd, że rozmiary przedsiębiorstw są coraz większe, liczba zaś zakładów w wielu zawodach coraz mniejsza. Całe gałęzie przemysłu, znalazłszy się pod kierownictwem szczuplejszej liczby rąk, zwłaszcza te, które stały się przytułkiem „trustów,“ są coraz bardziej prowadzone według tego samego planu, jak np. związki nafciarski lub gorzelniczy, że weźmiemy przykłady, które mamy pod ręką. Ten ostatni, znany pod nazwą „Whiskey trust,“ początkowo przedstawiał połączenie 80 niezależnych zakładów, ale, natychmiast po swojem powstaniu, zamknął 68 i wzamian rozszerzył pozostałych dwanaście, w ten sposób ujednostajniając produkcyę, nadając jej bardziej zześrodkowany charakter i poddając ją jednolitej woli. To samo odbywa się i w zakresie wielu innych zawodów. Na przestrzeni całego kraju tworzy się nowa organizacya sił wytwórczych, coraz mniej podległa kaprysom rynków, coraz lepiej umiejąca przystosowywać produkcyę do potrzeb narodu, wreszcie coraz bardziej uproszczona dzięki zaprowadzeniu wszędzie tego samego planu i poddana rutynie. Zbytecznie nadmieniać, ile to zdolności złożyło się na ten rezultat. Geniusze organizacyjne w rodzaju osławionego twórcy syndykatu nafciarskiego, Rockefellera, pracowały w ciągu lat wielu, ażeby zaprowadzić zześrodkowanie potęg wytwórczych, posługiwano się podejściem i podłością, siano dokoła siebie ruinę spółzawodników, usuwano zwolna przeszkody wszelkiego rodzaju, istniejące na drodze wzmiankowanej tendencyi ekonomicznej, aż wreszcie po licznych, indywidualnych wysiłkach powstały nowotwory w życiu gospodarczem Stanów Zjednoczonych, które oparły się na takiej ujednostajnionej rutynie, iż dzisiaj nawet osobistość miernych uzdolnień może pokierować olbrzymią maszyneryą scentralizowanej produkcyi, a biurokrata obliczyć zyski i wyznaczyć taksy na sprzedawany towar. Centralizacya ta, począwszy się w sferze właściwej produkcyi, rozszerzyła swój wpływ na dalsze zakresy, usuwając wszędzie pośredników i agentów i wchodząc w bezpośrednie stosunki z spożywcami. Nafta, wydobywająca się z rafineryi trustu nafciarskiego, wlewa się w olbrzymie zbiorniki tego możnego związku, istniejące we wszystkich niemal miastach i miasteczkach Stanów Zjednoczonych, stamtąd przez jego agentury dostaje się wprost spożywcom. Całe szeregi ogniw pośredniczących, pasorzytniczych, uległy zagładzie, usunięte przez wzrost stosunku bezpośredniego. A tak działa rozwijająca się centralizacya nietylko w obrębie wspomnianego trustu, lecz także i w innych dziedzinach przemysłu. O tem działaniu złożył świadectwo Dowe, prezydent ligi narodowej komiwojażerów, przed tak zwaną komisyą przemysłową, w lipcu roku bieżącego. Ocenia on, iż skutkiem zmian, wywołanych w stosunku pomiędzy odbiorcami a wytwórcami przez trusty, w ciągu ostatnich lat 35,000 agentów i komiwojażerów musiało szukać innych zajęć, pozostali zaś w liczbie 25,000 przystać na mniejsze wynagrodzenie. Nadto Dowe podał jeszcze inne obliczenia. Oświadczył on, iż w następstwie tego zmniejszenia liczebności personelu komiwojażerskiego przedsiębiorcy zaoszczędzili 60 milionów dolarów rocznie na wypłacanie honoraryum, oraz 50 milionów, które szły na koszta drogi, hotelów itd. Podniósł on jeszcze inne szczegóły, dotyczące oddzielnych trustów. Okazuje się, iż trust przedsiębiorców, trudniących się wyrabianiem towarów tytoniowych, wyrzucił na bruk około 3 tysięcy agentów. Są to cyfry bardzo duże. Zmiany te na razie pozbawiają pewną liczbę osób zarobku, ale wzięte z szerszego punktu przedstawiają bardzo poważny dorobek, bo w gruncie rzeczy doskonalą organizacyę społeczną, usuwając warstwy pasorzytnicze, nieprodukcyjne, swoją pracą nieprzysparzające społeczeństwu ani źdźbła dóbr materyalnych lub intelektualnych. Zagłada pośredników jest w chwili dzisiejszej wygraną przedewszystkiem i nawet może wyłącznie dla świata przedsiębiorców, ale z chwilą rozciągnięcia kontroli społecznej nad przemysłem i z rozpowszechnieniem się zwyczaju wyznaczania taksy państwowej na towary, ku czemu prze rozwój trustów, całe społeczeństwo odniesie korzyść z usunięcia niepotrzebnych ogniw organizacyi gospodarczej.

Rząd Stanów Zjednoczonych urządza co lat dziesięć spisy, ogarniające wszelkie przejawy życia, w tej liczbie nie jest także pominięty przemysł. Porównywając rezultaty dwóch ostatnich takich spisów, z r. 1880 i 1890, mamy przed sobą jaskrawy obraz centralizacyi, jaka zaszła na polu produkcyi podczas dziesięciolecia, przedzielającego jeden census od drugiego. Jeszcze bardziej ten postęp w kierunku wzrostu przedsiębiorstw ujawni się, jeśli zestawimy dalsze okresy czasu, np. od r. 1870. Ujrzymy, że ruch rozwoju w każdem następnem dziesięcioleciu jest szybszy, czyli że centralizacya nietylko robi postępy, lecz nadto dokonywa je według tempa przyspieszonego. A badając odpowiednie cyfry, zobaczymy, iż lubo liczba robotników wzrasta, przecież liczba zakładów nie dotrzymuje kroku wzrostowi rąk roboczych, ten zaś tak samo opóźnia się w porównaniu z rozmiarami ulokowanego w przeciętnem przedsiębiorstwie kapitału. Mianowicie wzrost ów wynosił:

	1870—1880	1880—1890
dla liczby zakładów	0,6%	27,27%
„ robotników	33.04	65,74
„ wartości produktu	26,87	69,27
„ włożonego kapitału	31,82	120,76

Cyfry te świadczą o zaiste prędkim procesie centralizacyi. Jeszcze lepiej o tem samem mówi ta okoliczność, iż kiedy w r. 1870 na pojedynczy zakład przypadało tylko ośmiu robotników, wyprodukowany zaś towar przedstawiał kwotę 12,425 dolarów, wówczas w r. 1890 pojedyncze przedsiębiorstwo dawało przeciętnie zarobek 14 osobom, wytworzony zaś produkt posiadał wartość 29,071 dolarów. Ale te ostatnie cyfry nie dają jeszcze należytego obrazu o stanie przemysłu. Według określenia, przyjętego przez spis, za odrębny zakład, zaliczany do rubryki przedsiębiorstw, uchodzi już nędzny warsztat, dający rocznego dochodu 500 dolarów i figuruje obok olbrzymiej nowoczesnej fabryki. Ażeby ocenić centralizacyę według należytego jej znaczenia i wpływu, należałoby wziąć zasadnicze gałęzie produkcyi przetwórczej, przodujące innym i rozmiarami towaru i techniką procederu. W. Beer, z pracy którego korzystamy przy pisaniu niniejszego artykułu, dokonał podobnego zestawienia dla 35 ważniejszych gałęzi przemysłu, takich, jak produkcya narzędzi rolniczych, przedmiotów ze stali i żelaza, hut metalurgicznych, fabryk chemicznych, rafineryj nafty, nawozów sztucznych, zakładów tkackich, młynów, dystylarni, garbarni papierni, mydlarni, wyrobu bielizny, stolarni, fabryk obuwia, kolodziejni, cegielni, rzeźni itd. Otrzymał on, iż w przeciągu dziesięciolecia, od 1880 do 1890, liczba zakładów zmniejszyła się tam przeszło o trzynaście tysięcy, liczba robotników zatru-

*) Drobna roślinka, porastająca piaszczyste wzgórza, pierwsze pokrycie rozkopisk wapiennych lub żółtych piaszczystych mogił. Na wiosnę liście i łodyga grube, zielone, następnie zupełnie żółte — kwiat jak złota gwiazdka — rośnie ich mnóstwo.

dnionych podniosła się o niespełna 700 tysięcy, wreszcie rozmiary stałego kapitału, spoczywającego w budynkach, maszynach itd. wzrosły o olbrzymią kwotę prawie dwóch miliardów dolarów! Co więcej, obok tej centralizacyi mamy tu i owdzie proces, który nie jest decentralizacyą, choć z pozoru, na pierwszy rzut oka, może uchodzić za takie uwstecznienie. Mianowicie w produkcyi nafty przy tej samej liczbie robotników i, dodajmy, przy panowaniu nad produkcyą tego samego trustu, liczba zakładów wzrosła o osiem. Nie są to jednak nowe przedsiębiorstwa, lecz filie rafineryi, założone przez trust w nowych punktach tam, gdzie okazało się to dogodnem. Okoliczność tu świadczy, iż rozmiary koncentracyi samego procederu w tem samem miejscu posiadają pewne naturalne granice, powyżej których dla przedsiębiorcy może okazać się korzystniejszem otworzyć nowy zakład w pewnej odległości od dawnego, aniżeli rozszerzać istniejący i z niego wysyłać produkt na dalsze rynki zbytu. Tendencya ta występuje też w innych trustach amerykańskich i przedstawia jedno z najświeższych dążeń, które ujawniły się w sferze życia przemysłowego. Koncentracya procederu dotychczas zazwyczaj szła równolegle do zcśrodkowania tytułów własności, ale z chwilą wystąpienia takich olbrzymów, jak trust nafciarski, okazało się, iż dla zyskowności przedsiębiorstwa nie może ona przekraczać pewnych granic.

Trusty amerykańskie przedstawiają najbardziej posunięty obraz ujednostajnienia pewnych gałęzi przemysłu. Taki związek nafciarski zcśrodkował w ręku tych samych kierowników proceder, którego akcye, wzięte w całości, posiadają wartość na giełdzie około 475 milionów dolarów, tj. dwa razy tyle rubli, należąc do 700 osób. Trust stalowo-druciarski połączył w wspólnej organizacyi 26 warsztatów, istniejących w Stanach Zjednoczonych. Dochody wynoszą w postaci czystego zysku pięć milionów dolarów, liczba zaś zatrudnionych robotników równa się trzydziestu tysiącom. Prezes tego trustu wiosną roku bieżącego wyrzekł: „Nasze fabryki i warsztaty są tak położone, iż możliwie dużo zaoszczędzamy na kosztach przewozu. Nie potrzebujemy dokonywać żadnych zakupów, ponieważ mamy wszystko w swojej produkcyi, czegokolwiek zapotrzebujemy. Wydobywamy rudę z własnych kopalni, przewozimy ją na własnych okrętach i zamieniamy na surowe żelazo we własnych hutach. Posiadamy własne kopalnie węgla i piece koksu. Rozpoczęliśmy od najniższych fundamentów i zagarniamy wszelkie zyski od chwili wydobycia rudy do przygotowania gotowego materyału!“ Możnowładca ów zapomniał dodać, a raczej uznał za niestosowne wspomnieć, iż trust zawarł umowę z innymi trustami i tem samem zagarnął jeszcze szersze dziedziny przemysłu.

Taka jest siła, powstająca w Stanach Zjednoczonych. Istnieje tam obecnie około 500 trustów, przedstawiających wartość około 6—8 miliardów dolarów w wydanych akcyach. Wraz z ich rozrostem wzmaga się ku nim nienawiść ze strony drobnych przemysłowców, bo robotnicy dotychczas nie mają najmniejszego powodu utyskiwać na trusty. Partya demokratyczna, która jest rzeczniczką interesów drobnomieszczaństwa, coraz bardziej zwraca się przeciw tym olbrzymim monopolom i prawdopodobnie najbliższa kampania wyborcza będzie się odbywała pod hasłem walki z trustami. Dotychczas walczono za pomocą prawodawstw stanowych. Obecnie demokraci zamierzają uderzyć na nie za pośrednictwem maszyny prawodawczej ogólno-państwowej.

J. W.

W DALI.

Pabjanice. W miejscowości tej powstaje szkoła handlowa dla kobiet. Ustawę zatwierdził p. minister skarbu d. 9 (21) z. m. Szkoła będzie 7-klasowa. Jeżeli wydatki na utrzymanie jej będą przewyższały dochody bieżące, sumę brakującą należy pokrywać z funduszów założycieli, w myśl przyjętego przez nich zobowiązania. Szkoła należy do rzędu zakładów naukowych średnich. Celem przygotowania uczniów do klasy I, szkoła ma klasę wstępną. Program wykładów obejmuje przedmioty następujące: arytmetykę handlową, buchhalteryę, korespondencyę handlową w językach: rosyjskim i w obcych, ekonomię polityczną, prawo finansowe, dzieje handlu, prawoznawstwo (przeważnie handlowe i przemysłowe), chemię i towaroznawstwo z technologią i geografią handlową (przeważnie Rosyi). Szkoła przyjmuje dzieci założycieli, a następnie innych mieszkańców Pabjanic, w razie zaś wolnych miejsc — także dzieci osób, w innych miastach zamieszkałych. Dzieci żydów mogą w szkole stanowić 25% ogólnej liczby uczenic.

Włocławek. Rozpoczęto przygotowania do zawiązania Towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowego, którego ustawę p. minister skarbu zatwierdził w d. 17 lipca r. b. Zadaniem Towarzystwa jest: 1) udzielanie członkom swoim taniego i w ratach spłacanego kredytu; 2) przyjmowanie oszczędności na procent tak od członków, jak i od obcych w drobnych ratach; od 10 kop.; 3) zakupywanie materyałów dla członków i sprzedaż ich wyrobów. Towarzystwu służy prawo udzielania: 1) kredytu osobowego; 2) za poręczeniem; 3) długoterminowego na nieruchomości, spłacanego ratami; 4) na zastaw rzeczowy, z pozostawieniem przedmiotu zastawionego u dłużnika pod jego dozorem i odpowiedzialnością sądową. Długi mogą być spłacane ratami tygodniowemi lub miesięcznemi. Udział członka oznaczono na 25 rb.; może on być wpłacany w ratach: po 5 rb. rocznie, po rb. 2 kop. 50 półrocznie i po rb. 1 kop. 25 kwartalnie.

Wilno. W kościele Świętojańskim odsłonięto pomnik Mickiewicza, bardzo skromny. Wykonany z marmuru białego, matowego, jest ozdobiony bronzami złoconymi. Z marmuru brunatno-czerwonego zrobiono małe kolumny, środkowe części boków sarkofagu, trójkąty pod belkowaniem tablicy i kwadraty małe we fryzie. Na marmurze innym, koloru szaro-brunatnego, umieszczono napis: „Adamowi Mickiewiczowi 1798—1898.“ Wysokość pomnika — 10 łokci, szerokość czworoboku katafalkowego, otoczonego bronzową balustradą gładką — $2^3/_4$ łokcia; szerokość deski podstawowej parapetu, wysuniętego na przód i na boki — 3 łokcie. Wnęk tablicy z popiersiem poety — okrągły; nad nim w półkolu wstęga z bronzu jasnego. Pod niszą na tle tablicy mnóstwo kwiecia polnego z bronzu złoconego, roboty subtelnej. Kwiaty przewite wstążką z gałązek. Na szczycie pomnika obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, otoczony wieńcem dębowym, w rozwartym gzemsie półkolistym. Nad tą częścią pomnika — krzyżyk złocony. Mickiewicz ma wzniesione oczy do góry.

Sewastopol. Pisma rosyjskie piszą: W d. 1 grudnia w sądzie wojskowo-morskim w Sewastopolu rozpoczęła się głośna sprawa o nadużycia w porcie sewastopolskim. Rozkaz głównego dowódcy floty czarnomorskiej, wiceadmirała Tyrtowa, wymienia osoby, pociągnięte do odpowiedzialności, w liczbie 43, wśród których wybitne stanowiska zajmują: były starszy referent biura portu w Mikołajewie, r. st. Kocergin, p. o. zarządzającego składem węgli w porcie sewastopolskim, dymisyonowany kapitan I rangi, Radecki, były dowódca parowca transportowego „Kozbek,“ kapitan I rangi Abaza, p. o. głównego dozorcy magazynów portu mikołajewskiego, podpułkownik admiralicyi Sapunow. Dalej idą członkowie komisyi odbiorczej portu w Mikołajewie i in. Oprócz osób, pociągniętych do odpowiedzialności, zalecono udzielenie dymisyi osobom następującym: głównemu buchhalterowi biura portowego w Sewastopolu, von Marenschieldowi, referentowi Bryżatowowi, zawiadowcy pracowni torpedowej, Gasprykiemu, i zawiadowcy pracowni artyleryjskiej, Ruwanowi. Świadków powołano 25.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych opracowało projekt zniesienia stanów: kupieckiego, mieszczańskiego i rzemieślniczego, tudzież oddzielnego samorządu stanowego w Cesarstwie i wprowadzenia natomiast ogólnego stanu miejskiego (gorodskoje sosłowje), pozostającego pod zarządem organów samorządu miejskiego. Okazało się bowiem, że instytucye samorządu stanowego, tj. zarządy kupieckie, mieszczańskie i rzemieślnicze, nie stoją bynajmniej na wysokości swego zadania, a nadużycia częste stały się szczególnie głośnemi w ostatnich czasach. Rzemieślnicy jednak, w myśl nowego projektu, mają do pewnego stopnia zatrzymać dawną organizacyę, ale nie w znaczeniu stanowem, tylko jako organizacyę cechową. W razie dojścia do skutku tego projektu, zakres spraw miejskich rozszerzy się znacznie, gdyż pod zarząd miasta przejdą też liczne szpitale, szkoły, ochrony i inne zakłady dobroczynne, znajdujące się dziś pod zarządem instytucyj samorządu stanowego. Wiadomość tę podaje *Słowo* na podstawie doniesień pism rosyjskich.

— *Warsz. Dniewn.* donosi, że komitet trzeźwości, niezależnie od teatru ludowego w maneżu przy ul. Grzybowskiej, zamierza, o ile to się okaże możliwem, urządzić jeszcze jeden w dzielnicy fabrycznej.

Szkoły. Celem przygotowania nauczycieli do szkół średnich, ministeryum oświaty wszczyna sprawę zakładania seminaryów nauczycielskich z kursem dwuletnim przy szkołach lub uniwersytetach.

— Według *Syn Ot.*, ministeryum oświaty rozważać będzie wkrótce sprawę przyznania Żydom łatwiejszego dostępu do średnich szkół technicznych.

— Ministeryum oświaty uznało za rzecz możliwą dopuszczenie kandydatek postronnych do klasy VIII gimnazyów państwowych w charakterze wolnych słuchaczek.

— Wychowaniec szkoły technicznej w Moskwie, inżenier-mechanik W. Rofe, i kandydat nauk przyrodniczych uniwersytetu warszawskiego, D. Sobolew, powołani zostali tymczasowo do objęcia wykładów w politechnice warszawskiej; pierwszy na nauczyciela rysunku technicznego, drugi na młodszego laboranta przy katedrze mineralogii i geodezyi.

Odczyty popularne z zakresu nauk przyrodniczych, cieszące się przez parę lat wielkiem powodzeniem w Muzeum przemysłu i rolnictwa, odroczono na czas nieograniczony z powodów niezależnych od komitetu.

Kasa oszczędności dla pszczelarzy, ogrodników i wogóle ludzi mających do czynienia z rolnictwem, już się zawiązała dn. 14 b. m. Do zarządu wybrano pp.: S. Dzierzbickiego, ks. Czetwertyńskiego i Edmunda Jankowskiego. Nadto, z Towarzystwa ogrodniczo-pszczelniczego w skład zarządu weszli: mecenas Wolf i p. L. Rutkowski, ogrodnik.

Zapis. Zatwierdzono zapis w sumie 10,000 rb., uczyniony w testamencie Stanisława Pieczyńskiego na utworzenie stypendyum dla uczniów niezamożnych, wyznania rzymsko-katolickiego, Polaków, szlachty, synów podupadłych obywateli gub. Kaliskiej, kształcących się w gimnazyach kaliskich lub innych specyalnych zakładach naukowych w Kaliszu albo innych miejscowościach Królestwa Polskiego.

Gospodarka miejska. W Kaliszu odbyła się narada w sprawie urządzenia wodociągów i kanalizacyi. Projekt obywatele przyjęli i wybrali komisyę. O roboty ubiega się p. Zygmunt Kotarski z Warszawy i firma Grove z Berlina.

Zdrowie publiczne. Rada lekarska przy ministeryum spraw wewnętrznych orzekła, że w wypadkach tyfusu brzusznego niema potrzeby odosobniania uczniów, a przy tyfusie plamistym chorzy winni być poddani kwarantannie domowej na 14 dni, podczas której uczęszczanie do szkoły jest wzbro-

nione. Termin odosobniania liczy się od dnia, w którym znikły u chorego objawy stanu gorączkowego.

Wystawy i zjazdy. Dnia 16 b. m. otwarto w Warszawie wystawę złocieni.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyi wszczęło sprawę unormowania dnia roboczego pracowników kolejowych; w przedmiocie tym są już szczegółowo uzasadnione wnioski zjazdu przedstawicieli kolei. Wyznaczenie liczby godzin pracy [illegible] dotyczyć wydziału ruchu, zarówno w sekcyach technicznych, jak i handlowych. Organy ministeryum skarbu donoszą, że dotychczasowe platformy wagonów osobowych, nieraz będące przyczyną wypadków nieszczęśliwych, mają uledz zmianie.

Przemysł i handel. Bank państwa wyjaśnia przyczynę ograniczenia swej działalności czynnej od r. 1896: Banki prywatne ostatnimi czasy zaczęły współzawodniczyć z instytucyą rządową w dziale kredytu wekslowego przez zniżanie odsetki i inne ulgi. Środki te istotnie odciągnęły część klienteli od Banku państwa, który nie będąc zakładem akcyjnym, nie może za cel główny stawiać sobie osiągnięcia najwyższych zysków czystych; przeciwnie — kieruje się względami ogólno-państwowymi. To też nie może stawać do współzawodnictwa z bankami prywatnymi. Jeżeli zaś skutkiem tego zmniejszyły się czynności Banku, to nie wynika stąd, aby wogóle zmalał kredyt wekslowy. Przeciwnie — gdy skup weksli w d. 13 stycznia r. 1896 wynosił w Banku państwa 168,4 mil. rb., w bankach prywatnych 204,6 mil. rb., razem 373 mil., w d. 13 września r. b. wynosił 149+404,7 mil., tj. razem 559,7 mil., czyli zwiększył się o 50%. Bank państwa chętnie teraz przyjmuje do od-skupu weksle z terminem 5-miesięcznym, dzięki czemu banki prywatne mogą tylko miesiąc trzymać w swoim portfelu weksle 6-miesięczne.

Zmarli. Dr. Ludwik Kadler w Warszawie. Zasłał pisma lekarskie. Ogłosił broszurę „O lecznicach warszawskich,“ tudzież popularny podręcznik „O środkach ochronnych od chorób wenerycznych.“

Odpowiedzi Redakcyi.

Ukraińcowi. Aż tyle pytań w tak prostej sprawie, jak przesłanie rękopisu do redakcyi! Na wszystkie odpowiadamy: utworów tego rodzaju nie potrzebujemy.

Enge. Instytucyi z wzajemnem ubezpieczeniem stowarzyszonych w Warszawie niema. Ustawę kasy emerytalnej według określonego prawnie typu mógłby Pan otrzymać w odpowiedniem biurze kolei Wiedeńskiej.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Ноября 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.